

Agencja... showiazkowy  
BIBLIOTEKA  
UMCS  
LUBLIN

● W KATOWNIACH NKWD I UB ● KOMAROW 1920 ● ZA CO VIRTUTI  
DLA BREZNIEWA? ● WISNIEWSKI KONTRA SAMOLINSKI ● KWIATKOWSKI  
KONTRA PIASECKI ● HAMLET PO KOWBOJSKU ● „POLMOS” PRZED SĄDEM

TYGODNIK  
WSCHODNI

PL ISSN 0600-8830

# relacje

LUBLIN, 3 - 9 VIII 1989 R.

NR 29

CENA 70 ZŁ

## LUBLIN NARODZINY TERRORU

Zbigniew Muszyński

**Z**AMEK lubelski w latach 1944 (lipiec) — 1954 to temat ciągle otwarty. Są artykuły, publikuje się wspomnienia więźniów, trafiają się już nawet książki o więzieniach moko-towskim, rawickim czy we Wronkach, a lubelski Zamek — pierwsze centralne więzienie śledcze w „ludowej” Polsce — nadal jest tematem prawie nieznanym.

Po masowym mordzie więźniów dokonanym na Zamku przez Niemców tuż przed opuszczeniem przez nich Lublina, w ostatnim tygodniu lipca i pierwszych dniach sierpnia 1944 r. Zamek był „bezpański”. Pilnowały go, co prawda, skromne posterunki, ale ludzie poszukujący swych bliskich lub ich śladów wchodzili bez trudu na Zamek i nawet mogli po nim buszować.

### Więzienia „pracują”

Druga połowa sierpnia 1944 r. była okresem przejmowania i zagospodarowywania Zamku przez nowych użytkowników, a we wrześniu Zamek zaczął „normalnie” funkcjonować i byli już w nim w tym czasie pierwsi więźniowie. Wcześniej, niż Zamek spółka NKWD/UBP przejęła inne obiekty użytkowane w czasie okupacji Lublina przez Niemców na cele śledcze i więzienne. Zaczęto od czwartego pola obozu koncentracyjnego Majdanek, gdzie już na przełomie lipca i sierpnia zamknięto żołnierzy i oficerów 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK, 3 Zamojskiej DP AK, a następnie (od połowy sierpnia) także 9 Podlaskiej DP AK. Bardzo szybko NKWD przejęło także osławioną katownię gestapo „Pod Zegarem” (ul. Uniwersytecka 3) oraz dodatkowo zagospodarowało na swe cele dużą kamienicę przy ul. Chopina 18, przeznaczając obszerne jej piwnice na areszt.



Omar Sharif z autorem wywiadu — czytaj str. 14

Wykorzystywanie dawnego budynku gestapo przez NKWD nie było przypadkiem wyjątkowym i nie ograniczało się do Lublina. Podobnie było w wielu innych miejscowościach na terenie całej Polski, ponieważ urządzenie i wyposażenie budynków zajmowanych przez gestapo w pełni odpowiadało potrzebom NKWD. „Zagospodarowano” również niemieckie tzw. obozy przejściowe (Durchgangslager): przy ul. Krochmalnej 6 („kapuściarnia”) i 31 (szkoła) oraz baraki przy ul. Nowy Świat. NKWD wykorzystywało je od pierwszych dni września jako obozy przejściowe do kompletowania transportów AK-owców, przwożonych mniejszymi partiami z terenu województwa lubelskiego i deportowanych następnie specjalnymi transportami kolejowymi do ZSRR.

Ze względu na olbrzymią liczbę aresztowanych i wziętych przez różne organa własnej i obcej władzy, utworzono również dodatkowe areszty w obiektach nie wykorzystywanych do tego celu przez Niemców, np. przy ul. Świętoduskiej (obecnie H. Sawickiej), gdzie w przedwojennym więzieniu wojskowym urządzono więzienie śledcze tzw. informacji wojskowej. Różne instancje m.in. i UB zajęły gmachy m.in. przy Krakowskim Przedmieściu 47, Krótkiej, Cichej, Zie-

lonej, Ewangelickiej, a w każdym z tych budynków piwnice stały się aresztami. Tak więc — nie biorąc pod uwagę obozu Majdanek — „przepustowość” lubelskich aresztów i więzień po lipcu 1944 r. zwiększyła się o co najmniej kilkaset miejsc w stosunku do czasów okupacji niemieckiej! Najważniejszym ogniwem w tym systemie był — podobnie jak za Niemców — Zamek.

### Więzienie na Zamku

W początkowym okresie swego ostatniego dziesięciolecia było ono faktycznie centralnym więzieniem NKWD w Polsce, choć formalnie nazywane było po polsku „Więzieniem Śledczym w Lublinie”, bez wiązania go w nazwie z instytucją nim kierującą. Nazwa taka występuje na stemplu więzienia, używanym zarówno w czwartym kwartale 1944 r. jak i w roku 1945, a więc przed i po przeniesieniu się centrali polskiej ekspozytury NKWD z Lublina do Warszawy.

Więzienie lubelskie zachowało do czasu likwidacji, tj. do 1954 roku, charakter więzienia śledczego. Z tego też względu przez Zamek przeszła bardzo duża liczba więźniów, którzy po śledztwie, trwającym od kilku tygod-

ni do 2—3 lat, i wyroku, trafiali zwykle do takich więzień jak: Wronki, Rawicz, Goleniów, Grudziądz i inne. Po rozprawie sądowej i wyroku wywożono ich na ogół najbliższym transportem do wspomnianych więzień. Od zasady tej niekiedy odchodziło, przedłużając pobyt na Zamku, np. matkom wychowującym niemowlęta urodzone w więzieniu lub zatrzymując dłużej więźniów wykonujących na Zamku prace uważane przez naczelnictwo więzienia za ważne.

W początkowym okresie swego istnienia, w okresie „Polski Lubelskiej”, Zamek przyjmował więźniów z całego terytorium uważanego za polskie, a zajętego przez Armię Czerwoną; więzienie było więc z tego powodu ciągle nadmiernie zatłoczone. Trudno powiedzieć, jakimi przesłankami kierowano się np. przekazując do Lublina, a nie do Rzeszowa, aresztowanych „politycznych” z Jarosławia, z powiatów łańcuckiego, rzeszowskiego, tarnobrzeskiego. Być może decydowały o tym charakter lub ważność sprawy lub też tylko stan zapelnienia innych więzień. Potwierdzeniem ostatniego może być np. kilkuosobowa grupa

Dokończenie na str. 10—11



## relacje ZE ŚWIATA

● Polityk chadecki Giulio Andreotti stanął na czele nowego koalicyjnego gabinetu włoskiego, 49. w powojennej historii Włoch. Gospodarka włoska ma się dobrze.

● Ministrowie spraw zagranicznych USA i ZSRR, James Baker i Eduard Szewardnadze, omawiali w Paryżu przygotowania do szczytu Bush — Gorbaczow.

● Rada Najwyższa ZSRR miażdżąca większością głosów zaaprobowala program autonomii gospodarczej dla Litwy, Łotwy i Estonii.

● „Kochamy bardzo Austrię, ale jeszcze bardziej kochamy Europę” — stwierdził minister spraw zagranicznych Belgii, Mark Eyskens. Austria złożyła wniosek o przyjęcie do Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej.

● Izba Reprezentantów Kongresu Stanów Zjednoczonych opowiedziała się za zmniejszeniem do 10 proc. pomocy gospodarczej dla Polski zadeklarowanej przez George'a Busha.

● Zachodniemiecki dziennik „Hannoversche Allgemeine Zeitung” poinformował, że specjalna komisja, utworzona przez Zjazd Deputowanych Ludowych ZSRR, zamierza wystąpić z wnioskiem o unieważnienie tajnego protokołu dodatkowego paktu Ribbentrop — Molotow z 23 sierpnia 1939 r.

● Zakończył się proces przeciwko Christerowi Petterssonowi, oskarżonemu o zabójstwo premiera Szwecji Olofa Palmego. Sąd w Sztokholmie skazał go na dożywotnie więzienie.

● Po raz szósty w tym roku strajkowały kolejarki brytyjskie i pracownicy londyńskiego metra. Strajkujący domagają się podwyżki płac.

● Kolejne wyroki śmierci zapadły w procesach uczestników antyrządowych rozruchów w Pekinie w maju i czerwcu br.

● Czechosłowacki tygodnik partyjny „Tribuna” pisze, że ustalenia „okrągłego stołu” „były ewidentnym odejściem z pozycji socjalistycznych”, a u-sankcjonowanie istnienia opozycji „ogromnym [...] błędem o nieobliczalnych, a na pewno sprzecznych z interesem Polski skutkach”.

● Po długich negocjacjach władz czechosłowackich z Watykanem osiągnięto porozumienie w sprawie mianowania 1 arcybiskupa i 3 biskupów. Część diecezji w CSRS pozostaje nadal nieobsadzona.

● Prezydent Rumunii Nicolae Ceausescu oświadczył na spotkaniu z delegacją parlamentarzystów brazylijskich, że kredyty zagraniczne nie pomogły w rozwoju jego kraju, a wręcz przeciwnie, były przeszkodą w realizacji programów gospodarczych i społecznych.

● Trwa exodus Turek bułgarskich. 217 tys. z nich opuściło już Bułgarską Republikę Ludową. Szacuje się, że liczba ta może wzrosnąć do 400 tysięcy.

● Herbert Schnoor, minister spraw wewnętrznych Nadrenii Północnej — Westfalii (RFN), zaproponował wprowadzenie wiz zarobkowych dla Polaków. Jego zdaniem co roku 50 tys. obywateli polskich mogłoby otrzymać taką wizę.

● W USA robotnicy fizycznie pracujący stanowią 7 proc. ogółu zatrudnionych. Z rolnictwa utrzymuje się 4 procent ludności.

● Władze węgierskie podały do wiadomości, że zostanie przeprowadzona rewizja procesu byłego prymasa Węgier, kardynała Mindszenty'ego, skazanego po węgierskim Październiku na karę śmierci. Kardynał Mindszenty przez wiele lat ukrywał się w ambasadzie amerykańskiej w Budapeszcie, po czym przebywał na emigracji.

● ZSRR zaproponował Polsce przejście na rozliczenie w dolarach we wzajemnych obrotach handlowych, przyjmując za podstawę ceny światowe.

● Na konferencji prasowej w Paryżu Michaił Gorbaczow wyznał, że jest ochrzczony, a jego matka jest osobą głęboko wierzącą wyznania prawosławnego.

● Związek Radziecki uregulował swoje tegoroczne zadłużenie wobec ONZ. Sumę 86,4 mln dolarów wpłacono w walucie wymiennej.

● Papież Jan Paweł II mianował ks. Tadeusza Kondrusiewicza pierwszym po II wojnie światowej biskupem Białorusi.

● W ciągu pierwszego półrocza obywatela NRD próbowali 550 razy przekroczyć nielegalnie granicę... Węgier.

● Podczas wizyty przewodniczącego Węgierskiej Socjalistycznej Partii Robotniczej, Rezső Nyersa, i sekretarza generalnego WSPR, Karoly Grosza, w Moskwie rozmawiano z Michaiłem Gorbaczowem m. in. o szansach wycofania wojsk radzieckich z Węgier. „Zajęliśmy wspólne stanowisko — powiedział R. Nyers — że w zależności od kształtowania się sytuacji międzynarodowej niezbędne będzie podjęcie kolejnych kroków w dziedzinie redukcji sił zbrojnych. Wspólny był również pogląd, że przy odpowiednich przesłankach międzynarodowych proces redukcji liczebności sił zbrojnych może doprowadzić do całkowitego ich wycofania”.

● W drodze do Polski jest 120 tys. ton kubańskiego cukru. Przed wojną polski kartel cukrowniczy był najsilniejszą organizacją tego typu w swojej branży w Europie. „Cukier krzepi!”

● Liczba wolnych miejsc pracy wyniosła w końcu czerwca br. 487 tysięcy. Pracy poszukuje 3,6 tys. zarejestrowanych w urzędach osób.

● Sąd Najwyższy wydał wyrok u-niewinniający — skazanych przez b. Wojskowy Sąd Rejonowy w Warszawie i b. Najwyższy Sąd Wojskowy — członków kierownictwa Polskiego Stronnictwa Ludowego: Kazimierza Bagińskiego, Tadeusza Węgrzyniaka, Wiktora Bazylewskiego i Tadeusza Wyrzykowski. Zaden ze zrehabilitowanych już nie żyje.

● Jerzy Robert Nowak, sekretarz CK SD, w wywiadzie dla „Przeglądu Tygodniowego”: „Az do końca lat 70. obowiązywało Stronnictwo ograniczenie liczebności — limit wyznaczony był na 100 tysięcy członków”.

● 60 proc. młodzieży z ostatnich klas szkół średnich wypowiedzia się przeciw ustawie o aborcji, a za ustawą jest 20,4 proc.

● Dotacje do cen 1 litra mleka warosły w ciągu pół roku z 59,6 do 76 zł; do 1 kg mąki z 64,8 do 151 zł; 1 kg mięsa z 492 do 1086 zł. Rozmowy o urynkowieniu rolnictwa są nader ożywione.

● „Rakowski miał szansę odejść od standardowego rządzenia, ale jej nie wykorzystał — poszedł starym tropem. Jest to paradoksalne: pierwszy rząd, który zapowiedział, że rolnictwo będzie potraktowane priorytetowo, jest jednocześnie rządem, który doprowadził do krańcowego spadku produkcji rolnej” (Gabriel Janowski, senator, w wywiadzie dla „Tygodnika Kulturalnego”).

● W Legnicy można pokątnie nabyć mundur radziecki za 100 tys. zł.

Obecni byli m. in. kardynał Edmund Szok z Detroit, senator Witold Trzeciakowski, wicewojewoda lubelski Władysław Saba.

● Na terenie Lokomotywni w Lublinie odbyły się uroczystości z okazji 9. rocznicy strajku lipcowego lubelskich kolejarzy.

● W inauguracyjnym meczu I ligi piłkarskiej Motor pokonał w Lublinie Widzew Łódź 2:0.

● Z owacyjnym przyjęciem spotkał się w Lublinie, występujący tu po raz pierwszy, polski zespół folklorystyczny „Wileńszczyzna” z Litwy.

## TELEWIZYJNY HIT TYGODNIA

**O**GORKOWY sezon w telewizji trwa. Poszukując wraz z naszymi Czytelnikami hitu tygodnia, doszliśmy do wniosku, że tym razem musimy odwołać się do przeboju sprzed lat — serialu „Czterdziestolatek”. Okazało się przy tym, iż może on być impulsem do całkiem ciekawych socjologicznych refleksji.

**Janusz Raczynski z Chełma:** — Kiedy patrzę na ten obraz małej stabilizacji z lat 70., nie tylko odżywają wspomnienia związane z oglądaniem tego serialu przed laty, ale silną rzecz nasuwają się także uwagi na temat drogi, jaką od tamtej pory przeszliśmy. Polska zobrazowana w „Czterdziestolatek” jest bardziej gładka, mniej znękana kłopotami, utrzymująca się w stanie pewnej gospodarczej i społecznej równowagi. Z drugiej wszakże strony, obraz układów, powiązań, mafii funkcjonujących w każdym środowisku stanowi jakby przyczynek do zrozumienia tego, co się później stało. Wielu ludzi dziś wzdycha do podlukrowanego życia z czasów Gierka, życia wydzwigniętego na krótko za cudze pieniądze. Nie pamięta się już bowiem, że tak wówczas, jak i dziś, normalny zawodowy awans możliwy był tylko za sprawą „Opatrzności” (w przypadku inżyniera Karwowskiego — komputera), że plan wyrabiał się także nie rytmiczną pracą, lecz skokami pod koniec kwartału, że śmiać się można było co najwyżej do funkcji wiceministra, że „fuszerzy” pracujący poza godzinami pracy tak samo dyktowali warunki i ceny swoich usług. Dla mnie „Czterdziestolatek” to obraz złudnych lat nadszycanego fin de siècle. Tylko poczciwość i prostota głównego bohatera pozostaje dla naszych polskich warunków niezmienna. Dziś Karwowski nie tylko nie przebudowałby mieszkania, ale co miesiąc pograżałby się w coraz to większych kłopotach bytowych. Właśnie tacy ludzie jak on najszybciej się teraz pauperyzują.

**Janina Redzko z Białej Podlaskiej:** — Świetna, lekka, zręczna polska komedia. Gatunek niezwykle u nas rzadki, ale gatunek, który bardzo lubię. Ileż tam prawdy o ludzkiej naturze i specyficznych „układach” polskiego życia. Niezbyt rozgarnięty inżynier, jego drobnomieszczańska żona, świat rekinów technokracji, cwaniaków typu Maliniak, a przy tym dobre aktorstwo i często aluzyjny, trafny dowcip. Łapię się także na nostalgii, oglądając długie włosy chłopców i modę dziewcząt z tamtego okresu. To świetny obraz czasów Gierka ze wszystkimi wypaczeniami, ale także z namiastką spokojnego, rwącego do przodu życia. Jakże ówczesne drobne przepychanki kontrastują z dzisiejszymi egzystencjalnymi problemami Polski.

**Krzysztof Wnuk z Lublina:** — Dobrze, że ten serial przypomniano. Po pierwsze, to dobra rozrywka; po drugie, to portret elity z lat 70., wpisany w losy przeciętnego człowieka. Jestem przeciwnikiem nadawania temu serialowi jakiegokolwiek rangi dokumentu. Udowodnia on jednak, że przekaz artystyczny, oparty na odrobinie humoru i na ciepłej ludzkiej, zwyczajnej atmosferze, zawsze znajdzie chętnych widzów, a czasami wywoła nawet odprysk melancholii.

**Edward Podsiadło z Lublina:** — Bra-wo za reemisję „Czterdziestolatek”. Serial sam broni się do dziś zdrowym, prostym humorem i obrazem drobnych polskich grzeszków. Po co tylko placić panom Gruzie i Toeplitzowi za nijakie, wymuszone komentarze, mające uczynić z filmu wicysty pomnik filozoficznego zadumania? A może fakt, że ci ludzie tak rozbawieni wówczas, dziś są tak smętni — to właśnie ów dokument przemian, jakie nastąpiły w naszym kraju w ciągu ostatnich dziesięciu lat?

## relacje Z KRAJU

● Po burzliwej debacie Sejm Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej powołał na stanowisko prezesa Rady Ministrów gen. Czesława Kiszczaka. W głosowaniu udział wzięło 420 posłów; za wyborem głosowało 237 (bezwzględna większość wynosiła 211), przeciw — 173. Wstrzymało się od głosu 10 posłów.

● Na XIII Plenum KC PZPR prezydent Wojciech Jaruzelski złożył rezygnację z funkcji I sekretarza i członka Biura Politycznego KC PZPR. Jego następcą wybrano (w tajnym głosowaniu, przy 41 głosach przeciwnych) premiera Mieczysława Rakowskiego. Mieczysław Rakowski pełnił wcześniej funkcję sekretarza KC. Dokonano istotnych zmian w składzie najwyższych władz partyjnych. Z Biura Politycznego odeszli: Kazimierz Barcikowski, Stanisław Ciosek, Józef Czyrek, Alfred Miodowicz, Stanisław Ciosek i Józef Czyrek przestali równocześnie, wraz z Władysławem Baką, Zygmuntem Czarrzastym i Marianem Orzechowskim, pełnić funkcję sekretarzy KC. Do Biura Politycznego awansowali: Manfred Gorywoda, Janusz Kubasiewicz i Leszek Miller. Sekretarzami KC wybrano Włodzimierza Natorfa, Marka Króla, Marcina Święcieckiego i Sławomira Wiądra (trzej ostatni zostali uprzednio wybrani do Komitetu Centralnego). Komitet Centralny nie zgodził się odwołać Mariana Stępnia z funkcji sekretarza KC. Marian Stępień jest szefem łowiczej krakowskiej „Kuźnicy”.

● Z wypowiedzi przedstawicieli opozycji parlamentarnej na temat wyboru prezydenta. Jerzy Holzer: „Wybór Wojciecha Jaruzelskiego na prezydenta przyjąłem z dużą wstrząśniętością i brakiem entuzjazmu”. Wiktor

Kulcrski: „Gdybym oddał głos ważny, generalnie przepadłby w wyborach. Nie wybaczyłbym sobie tego”.

● Z listu gratulacyjnego przewodniczącego OPZZ Alfreda Miodowicza do prezydenta Wojciecha Jaruzelskiego: „Pamiętamy, że dzięki Pana dotychczasowemu, osobistemu wsparciu, związki zawodowe w wielu konfliktowych sytuacjach mogły pełnym głosem występować w obronie pracowniczych praw”.

● Alfred Miodowicz ustąpił z funkcji członka Biura Politycznego KC PZPR, motywując swoje odejście presją działaczy związkowych.

● Minister przemysłu Mieczysław Wilczek przebywał w USA, sondując amerykańskie możliwości inwestycyjne w polskim przemyśle rafineryjnym.

● W wywiadzie dla poznańskiego tygodnika „Wprost” Mieczysław Wilczek stwierdził: „Uważam, że jeżeli coś może być zdrowego w tej ogólnej chorej polskiej sytuacji, to tym czymś jest właśnie gospodarka. W końcu mamy co jeść, w co się ubrać, nikt nie jest bezdomny, nikt nie chodzi bez butów, a mięsa jemy średnio więcej niż obywatele wielu krajów w Europie”.

● W 1987 roku statystyczny Polak zjadł 60 kilogramów mięsa. Dla porównania przeciętne spożycie wynosiło: w Bułgarii — 71 kg, w Czechosłowacji — 86 kg w NRD — 96 kg.

● Trwa masowe wykupywanie resztek artykułów spożywczych.

● W kraju mamy około 3 mln rolników. Gdyby każdy z nich odstawił dwa tuczniaki, mieliśmyby ok. 700 tys. ton mięsa. Na razie kupiliśmy 30 tys. ton mięsa z Zachodu, płacąc po dolarze za kilogram.

przez NKWD w 1944 roku. Będzie to pierwsze krajowe wydanie tej książki, która ukazała się trzy lata temu w Paryżu.

● W miejscowości Leszczyna (gm. Urzędów) odbyła się uroczystość poświęcenia wodociągu zbudowanego z funduszy amerykańskich i Kościelnej Fundacji Zaopatrzenia Wsi w Wodę.

## relacje Z REGIONU

● Pierwsze prywatne gimnazjum w regionie ma powstać w Lublinie.

● Podpisano akt notarialny w sprawie utworzenia spółki „Wolny obszar celny Małaszewicze — Terespol”.

● Wydawnictwo Lubelskie wyda książkę Jana Dzeduszyckiego „Trzy lata wykreślone z życiorysu”. Są to wspomnienia Polaków internowanych



## Polemika z W. Samolińskim

**Z** PRZYKROŚCIĄ przeczytałem w „Relacjach” nr 26 artykuł p. Wojciecha Samolińskiego, polemizujący z wypowiedzią prof. Ryszarda Bendera, zamieszczoną wcześniej w tymże piśmie. Nie chcę ustosunkowywać się do opinii Autora na temat kampanii wyborczej i oceny ostatnich wyborów. Zwrócę jedynie uwagę na dokonaną przezeń niesprawiedliwą i wysoce krzywdzącą ocenę działalności prof. R. Bendera w życiu politycznym kraju.

Prof. R. Bender kandydował w wyborach 4 czerwca br. jako niezależny przedstawiciel chrześcijańsko-demokratycznego Stronnictwa Pracy, z mandatu nr 220 dla bezpartyjnych. Tylko z tego mandatu mógł się ubiegać o wybór. Tak stanowiła ordynacja wyborcza. Stąd rywalizacja z kandydatem Komitetu Obywatelskiego. Komitet Obywatelski nie dopuścił na swoją listę czołowych działaczy Stronnictwa Pracy, m. in. prof. R. Bendera, mec. Władysława Siłę-Nowickiego, Kazimierza Switonia; z ruchu narodowego nie wziął Aleksandra Halla; z Unii Polityki Realnej — Janusza Korwina-Mikke; z KPN — Leszka Moczulskiego. Natomiast przewodniczący PPS, Jan Józef Lipski, z grupą swoich socjalistycznych działaczy znalazł się na liście Komitetu Obywatelskiego.

Pisze p. W. Samoliński, że prof. R. Bender kandydował z listy Stronnictwa Pracy, gdyż „jest z ruchem „S” zbyt luźno związany”. Czy Autor tej wypowiedzi mógłby wskazać kogośkolwiek ściślej związanego z ruchem „S”, kto równie dobitnie jak Bender domagałby się, jeszcze w czasie stanu wojennego, relegalizacji „Solidarności”? R. Bender czynił to od swego pierwszego wystąpienia w Sejmie w r. 1985 nieustannie. W oczach jakże wielu Polaków i zagranicy był on jedynym heroldem tej sprawy w polskim parlamencie. O potrzebie reaktywowania „Solidarności” wypowiadał się prof. R. Bender wielokrotnie nie tylko w Sejmie, ale również na łamach prasy, w telewizji, w radiu pol-

skim i zachodnim z „Wolną Europą” włącznie. Nie można o tym zapominać.

A iluż dziś silnie z ruchem „S” związanych posłów i senatorów wykazało w tamtych trudnych latach podobną do prof. R. Bendera determinację w domaganiu się przywrócenia „Solidarności”?

To poseł Bender rokrocznie spotykał się z Lechem Wałęsą u o.o. palotynów w Zakopanem, by wykazać, że ten nie jest tylko osobą prywatną, co twierdziła wówczas strona rządowa. Spotykali się obaj w górach pod pre-

Zwierzchnik Kościoła Ewangelicko-Reformowanego w Polsce, bp Zdzisław Tranda, zauważył, że jedynie Bender domagał się uznania przez gen. Jaruzelskiego Lecha Wałęsę za partnera w kształtowaniu życia politycznego w Polsce. To Bender głosił potrzebę spotkania się obu przywódców. I do czekał się tego szybciej, niż ktokolwiek przypuszczał. W czasie inauguracyjnego posiedzenia Sejmu obecnej kadencji przybyli tam oni obaj, a w Senacie usiedli obok siebie — Lech Wałęsa i Wojciech Jaruzelski. Tylko że poseł R. Bender nie zasiadał już w Izbie. Stało się to, moim zdaniem ze szkoda dla życia parlamentarnego w Polsce. Być może, iż siedząc obok siebie, Lech Wałęsa i gen. W. Jaruzelski myśleli wówczas o pośle Benderze, który „wyprorokował” ich spotkanie.

lence ordynacja wyborcza, anachroniczna i wadliwa pod każdym względem. Przeciw niej wypowiadał się w Sejmie i głosował przeciw niej prof. R. Bender.

Wojciech Samoliński pisze, że wybory z 4 i 18 VI br. nie były demokratyczne. Zgadza się z tym w pełni. Jestem przekonany, że w przyszłych demokratycznych, proporcjonalnych wyborach prof. R. Bender uzyska poparcie, które zapewni mu miejsce w Sejmie. Tego życzy mu wielu Polaków z całego kraju, ceniących jego dotychczasową aktywność parlamentarną. Tego zdania jest m. in. nestor historyków polskich, prof. Janusz Pajewski z Poznania. Uznaje on prof. Bendera za wybitnego parlamentarzystę. Pisze: „Pan bronił „Solidarności”, gdy była krzywdzona i prześladowana. Bronił Pan honoru i godności Sejmu”. A prymas Polski, przyjmując na audiencji w dniu 10 VI br. prof. R. Bendera, jak głosi komunikat, „wyraził uznanie i podziękowanie posłowi za jego postawę i aktywność w Sejmie, która służyła najwyższym sprawom narodu i Kościoła w Polsce”.

Na koniec apel. Oby p. W. Samoliński i podobnie do niego myślący, gdy będą obchodzić w tym roku, po raz pierwszy po wojnie, 11 listopada jako święto państwowe, dzień wolny od pracy, pamiętali o tym, że święto to wywalczył w Sejmie poseł Ryszard Bender. A gdy kraj nasz wrócił do dawnej nazwy „Rzeczpospolita Polska”, niechaj przypomną sobie, że wystąpił o to jako pierwszy w Polsce prof. R. Bender.

PS. Za krzywdzące Redakcję „Relacji” uważam złośliwe postscriptum Autora, stwierdzające, jakoby „Relacje” interesowały się jedynie kandydatami, którzy nie weszli do Sejmu i Senatu. Czyżby „Relacje” odmówiły zwycięzcom w osobach T. Mańki, Z. Łupiny, A. Stanowskiego i innych o publikowania ich wypowiedzi na temat wyborów? Jeśli nie, to sądzę, iż p. W. Samoliński winien przeprosić Redakcję.

E. W.

## PROF. RYSZARD BENDER A SOLIDARNOŚĆ

Eugeniusz Wiśniewski

tekstem wypowiedzi zimowego. Publicysta „Gazety Wyborczej” Wojciech Zieliński zauważył w nr. 29 z 19 VI 1989 r., że gdy poseł Bender „na długo przed Okrągłym Stołem nawoływał do zbliżenia (najogólniej określając) z Wałęsą i „Solidarnością”, poprzednia Izba przyjęła ten głos wrogim szmerem i ironicznym śmiechem”. Dziś ten wrogi szmer względem prof. R. Bendera przebija z wypowiedzi p. W. Samolińskiego na łamach „Relacji”.

Warto, by Autor zapoznał się z ocenami działalności sejmowej prof. R. Bendera, ukazującymi się na łamach prasy krajowej i zagranicznej. Bliski chyba p. W. Samolińskiemu ideowo Jerzy Holzer w „Tygodniku Kulturalnym” w nr. 28 z 9 VII 1989 r. konstatuje, że prof. R. Bender „bardzo dobrze sprawdził się w Sejmie”. Włoska „La Stampa” nazywała go stale „rzecznikiem „Solidarności” w Polsce”, a „New York Times” — „samotnym obrońcą Wałęsę”.

Prof. R. Bender nie przegrał wyborów. Nie były to bowiem wybory proporcjonalne, jak w demokracjach zachodnich, lecz kurialne, jak niegdyś w Galicji. Nie został on desygnowany do żadnej kurii przez jej dysponentów. W demokratyzacji życia politycznego cofnięli się do XIX w. W wyborach proporcjonalnych 15,4 proc. głosów, które uzyskał prof. R. Bender, czy 21,1 proc., które otrzymał na Żoliborzu w Warszawie mec. W. Siła-Nowicki, zasłużony obrońca więźniów politycznych w PRL i sam więzień z czterokrotnym wyrokiem śmierci, wystarczyłoby aż nadto, by znaleźć się w Sejmie. W krajach zachodnich, np. w Republice Federalnej Niemiec, tamtejsza FDP — partia centrum, której zabrakło u nas w parlamencie — uzyskuje często poniżej 9 proc. głosów, a wchodzi do Bundestagu i znaczy niemało. To, że prof. R. Bender, mec. Wł. Siła-Nowicki, J. Korwin-Mikke, L. Moczulski nie zasiadają w parlamencie, sprawiła ustalona kanapowo w Magda-

## W ZGROMADZENIU NARODOWYM

Fot. J. Maciej Szymczak





**Z**NAJOMOŚĆ spraw związanych z wojną 1920 roku nie jest w naszym społeczeństwie wielką. Jednak odkąd przestały obowiązywać urzędowe nakazy zapomnienia, coraz częściej trafiają do powszechnej świadomości historyczne fakty, z których budowała się nasza niepodległość. Przewinęła się też przez prasę nazwa miejscowości — Komarów. Warto więc wydobyć z niepamięci trochę faktów dotyczących tego szczególnego miejsca chwały polskiego oręża; warto również i z tej przyczyn, że była to ostatnia już w dziejach wojen bitwa wielkich mas kawalerii.

Z historią tych bojów stykałem się od najwcześniejszego dzieciństwa, brali w nich bowiem udział członkowie mojej najbliższej rodziny: ojciec — Adam Iwaszkiewicz, który dowodził konną baterią i stryj — Jerzy Iwaszkiewicz na czele szwadronu ułanów. Słuchałem też opowiadań innych uczestników bitwy pod Komarowem, bywających w naszym domu. Wszyscy oni służyli w pierwszej dywizji kawalerii pod dowództwem generała Juliusza Rómmla, którego ażeńsk bojowy pozwolił mi na precyzyjne ustalenie chronologii faktów. Opisałem więc te odległe zdarzenia w oparciu o autentyczne relacje z pierwszej ręki, czując się spadkobiercą rodzinnych tradycji.

Pod Komarowem nie opodal Zamościa rozegrał się ostatni akt wspaniałej kawalerskiej epopei, jaką były zmagania polskiej jazdy z kawalerią sowiecką, a przede wszystkim z konną armią Budiennego (pisownia nazwiska zachowana zgodnie z ówczesnymi źródłami polskimi), na ogromnych przestrzeniach od Kijowa po Zamość. Dzieje tej „konnej” wojny były zupełnie szczególne; w przebiegu i scenarii odmienne od tradycyjnych wyobrażeń o działaniach bojowych wojen XX wieku. Nie było frontów, okopów i pozycji, wszystko dokonywało się w galopie, a rozstrzygało — w huraganowych szarżach; na sposób bliższy raczej Trylogii, niż doświadczeniom, dopiero co zakończonym wojny światowej. W 1920 r. po raz ostatni święciła triumfy biała broń.

### Dwie konne armie

7 maja 1920 roku zdobyty został Kijów, ale wkrótce potem odwróciła się karta wojny i polskie wojska zostały zmuszone do odwrotu, cofając się na kolejne rubieże obrony.

14 maja ruszyła wielka ofensywa sowiecka na froncie północnym. Na Ukrainie zaś na arenę wojny wkroczyła nowa, silna i niesłychanie groźna jednostka — Konna Armia. Zorganizowana w bojach z wojskami kontrrewolucji szła w chwałę poprzednich zwycięstw, dobrze uzbrojona i wyszkolona, a przede wszystkim zdolna do szybkich, zaskakujących manewrów. W jej skład wchodziło 20 tysięcy jeźdźców i liczne oddziały pomocnicze.

W momencie rozpoczęcia walk odwrotowych kawaleria polska operowała związkami nie większymi od brygady, wchodzącymi w skład różnych dywizji i dysponowanych w zależności od potrzeb, oraz jedną większą jednostką — pierwszą dywizją kawalerii, liczącą 3000 szabel. Krwawe walki opóźniające poważnie przerzedziły polskie szeregi. Sama tylko pierwsza dywizja do 10 sierpnia utraciła połowę ludzi.

D obliczu śmiertelnego niebezpieczeństwa zadaniem chwili stała się odbudowa stanów naszej jazdy, a szczególnie utworzenie wielkiej jednostki kawalerii, mogącej stawić czoła Konnej Armii i działać samodzielnie w warunkach szybkiej, ruchomej wojny. Kosztem ogromnego wysiłku do końca lipca do kawalerii skierowano 10 tys. żołnierzy i 162 oficerów. Ponadto do szeregów zgłosiło się drugie 10 tysięcy ochotników, często z własnymi koniami.

Wiele ochotniczo powstających oddziałów mundurowało się samo, według własnej fantazji i wzorów, czasem wprost z epoki napoloońskiej lub Królestwa Warszawskiego. W pierwszym pułku ułanów „krechtowickich” znalazł się nawet szwadron „towarzyszów pancernych” złożony z ochotników-zemian, którzy na te wojne po-

wyciągali, co zostało po przodkach z helmów i pancerzy, pamiętających wiedeńską potrzebę. Dwa plutony tego szwadronu były więc autentycznie pancerne; kto bowiem nie miał napierśnika, ten przywdziewał ni to kokozę, ni to karacene, sporządzone z misternie powiązanych obojętnych uszek od kluczy.

Mylili by się ogromnie, kto sądziłby, że talka naprędce zebrana armia przedstawiała znikome wartości bojowe. Było coś takiego w tamtych Polakach, często niemal dzieciach lub starszych panach, że mając konia i szablę, stawali się kawalerystami, odwagą i ofiarnością nadrabiając niedostatki wojskowych umiejętności. Ponadto tłum i kadre polskiej jazdy stanowiły zaprawione w bojach pułki, świetnie dowodzone i złożone ze znakomych żołnierzy, takich jak wachmistrz Zięba z dziewiątego pułku ułanów, który w szarży pod Olszanicą sam ściał siedmiu koniaków.

W lipcu w Zamościu została sformowana, złożona z dwu dywizji, Grupa Operacyjna Kawalerii. Żołnierze woleli jednak nazywać się również konną armią i taki też napis wisiał nad zamojskim budynkiem sztabu Grupy. Stawały więc naprzeciw siebie dwie konne armie: jedną dowodził Budienny, druga „Grubienny” — takie bowiem przezwisko z racji tuszy, otrzymał od swych podkomendnych generał Sawicki.

Główny ciężar bojów, ale też i chwała rozgromienia Konnej Armii, upadł w udziale pierwszej dywizji. Składała się ona z ośmiu puł-

zować. Pierwsza dywizja nie tylko zadała duże straty nieprzyjacielowi, ale zwyciężyła Budiennego, a zwyciężył Budiennego to uratować Lwów, a może i Warszawę. Sukcesy te opłacone zostały bardzo drogo. Straty wyniosły: 172 oficerów i prawie 2 tysiące ułanów”.

### Manewr Budiennego

Zadaniem dywizji było zagrozić Budiennemu drogę do Lwowa, bowiem w tym właśnie okresie Konna Armia wykonała zwrot, kierując się ku temu miastu. Dywizja Rómmla realizowała to zadanie w trakcie aktywnych działań odwrotowych, zadając nieprzyjacielowi dotkliwe ciosy i wygrywając kolejne bitwy opóz-

okopanej, 13 Dywizji Piechoty. Pozostawało jeszcze jedno wyjście — sforsować zapórę pierwszej dywizji.

### Pod Komarowem

Ranek 31 sierpnia wstał piękny i słoneczny. Od wczesnych godzin rannych pułki Brygady prowadzą bój z 11 Dywizją Konarmii. Nieprzyjaciel zostaje zepchnięty na północ. 8 pułk ułanów bije się o Wole Sniatycką i wkrótce obsadza zabudowania wsi. VI Brygada, która spóźniła się z wymarszem, jeszcze nie dotarła na pole bitwy. Pułkownik Rómml lepi ze złości na jej dowódcę ptk. Płisowskiego. Nareszcie dostrzeżę go na wzgórzu przed Wole Sniatycką. Wściekły na Płisowskiego, uciekają-

# KOMARÓW 1920

## Olgierd Iwaszkiewicz

niające. Toteż kiedy w bitwie warszawskiej załamała się ofensywa Tuchaczewskiego i Armia Czerwona zmuszona została do szybkiego i dość bezładnego odwrotu, a Budienny, spiesząc z odsieczą, zwrócił się pod Zamość, pierwsza dywizja wisiała mu bez przerwy u gardła.

30 sierpnia ptk Rómml otrzymuje rozkaz marszu na Komarów. Po dro-

cego, jak sądzi, z obawy przed reprimendą, dopada go galopem, ale widok, jaki rozciąga się ze wzgórza, odbiera mu mowę. Przedpole pokrywa mrowie jazdy bolszewickiej atakującej VII Brygadę. W oddali widać idące do szarży 2 pułk szwoleżerów i dziewiąty ułanów. Przewaga nieprzyjaciela jest jednak przynajmniej jedna. Padają gorączkowe rozkazy. Wyciągnięte w galopie gnają do boju konne baterie.



Grupa oficerów 3 Dywizjonu Artylerii Konnej, wchodzącego w skład I Dywizji Kawalerii (1920 r.)

Repr. Waldemar Stępień

ków ułanów, jednego pułku szwoleżerów i pięciu dywizjonów artylerii konnej. Komendę nad nią objął w dniu 18 lipca ptk Juliusz Rómml (późniejszy generał, dowódca Armii „Łódź” w 1939 roku).

Wkrótce po sformowaniu pierwsza dywizja ruszyła do walki z Budiennym, aby w dniu 29 lipca stanąć „na szlaku Chmielnickiego” pod Beresteckiem, gdzie stoczono pierwszą zwycięską bitwę z 6 i 14 Dyw. Konnej Armii. Następny miesiąc jest okresem nieprzerwanych starć, potyczek i bitew. W ciągu trzydziestu dni stoczono ich aż jedenaście. Przydzielony do pierwszej dywizji z ramienia Misji Francuskiej kapitan Morlard tak późnie opisał te kawalerskie dzieje w „Revue de Cavallerie”: „Począwszy od drugiej połowy lipca pierwsza dywizja nabiera moralnej przewagi nad nieprzyjacielem. Budienny jest wówczas u szczytu sławy, ale w szeregu bitwach traci inicjatywę oraz wiarę w swą szczęśliwą gwiazdę, a jego armia stopniowo zaczyna się demoraliz-

ować. Pierwsza dywizja nie tylko zadała duże straty nieprzyjacielowi, ale zwyciężyła Budiennego, a zwyciężył Budiennego to uratować Lwów, a może i Warszawę. Sukcesy te opłacone zostały bardzo drogo. Straty wyniosły: 172 oficerów i prawie 2 tysiące ułanów”.

Rozkaz dowódcy Grupy Pościgowej generała Hallera na dzień 31 sierpnia: 13 Dywizja Piechoty obsadzi rejon Łabunie w kierunku Woli Sniatyckiej. Pierwsza dywizja jazdy ma atakować na północ; wskazany kierunek — wieś Wola Sniatycka i Cześniki.

Rozkaz ptk. Rómmla na dzień 31 sierpnia: wymsz godzina 6 rano, na czele VII Brygada ptk. Brzezowskiego i ona ma rozpocząć natarcie na Wole Sniatycką.

Przed Konarmią stoi tymczasem alternatywa: albo zdobywać silnie bronioną Zamość, albo przebić się przez karabiny maszynowe i działa, dobrze

Tymczasem 9 pułk ułanów dostaje się pod ogień własnej artylerii z 13 Dywizji Piechoty. Trochę w tym winny jego dowódca, majora Dembinśkiego, nie wyrównał maści koni w szwadronach i artylerzyści, widząc z daleka pstrokaciznę wierzchowców, wzięli ich za bolszewików. Pułk wycofuje się z dużymi stratami. Również konne baterie muszą się cofnąć, gdyż wyforowały się za bardzo do przodu i grozi im zagarnięcie. Odskakują do tyłu pojedyncze działony. Wzrastający nacisk wroga i odwrot artylerii wywołują popłoch w polskich szeregach. Rozszerza się panika. Gdzie jest VI Brygada?

Nie opodal zabudowań Woli Sniatyckiej kończą się pozycje 13 Dywizji Piechoty. Jako ostatnia, kontaktowa, stoi kompania kapitana Tyczyńskiego. I w to właśnie miejsce, w styk z VII Brygadą kieruje się atak sowieckiej kawalerii. Do brawurowej szarży rusza siła przeszło brygady jazdy. Lawy budiennowców pokrywają całą przestrzeń od Woli Sniatyckiej aż po Antonówkę.



Piechurzy to stary i zaprawiony w walkach żołnierz. Ułani podziwiają spokój, z jakim prowadzą ogień, starannie celując i strzelając bez pośpiechu. Artylerzyści konni biją ogniem na wprost, kartaczami. Coraz więcej galopujących koni bez jeźdźców, ale bolszewicy są bliżej i bliżej. Gdzie jest VI Brygada?!

Nareszcie są! Równym galopem zbliża się 1 pułk ułanów i w locie rozwija w kawę do szarży. Za nimi żółte linie ułanów jazłowieckich i 12 pułku ułanów podolskich. Wyskoczyły do przodu taczanki, pełne ogniem i przysnęły na boki, robiąc miejsce do szarży.

Ponad zgłębki bitwy wybija się wysoki głos trąbek grających „marsz-marsz”. Chylą się lance, setki szabel dobywa się z pochew. W okamgnieniu zmienia się obraz bitwy. Idąca jak huragan szarża porywa za sobą wymęczone pułki VII Brygady. Pierwszą linię budiennowców zostają zwinęte i rozbite w proch, dopłoch ogarnia pozostałych. Rabani i klucy rzucają się do ucieczki, byle dalej, na linię wzgórz.

Gdzieś bardzo daleko pozostają nauki znaną Marny, spod Verdun i Ypres: artyleryjskie nawały, cząstki gazy i wojenna technika XX wieku. Tu, pod Komarowem, wszystko to ręczna robota. Tu walczą się tak, jak walczyli przez całe wieki.

Ważne wzgórze 256 przechodzi w polskie ręce. Tutaj pułkownik Rommel nakazuje rozwinąć punkt obserwacyjny i podciągnąć baterie. Z napływających meldunków wynika, że rozbite jednostki należały do 11 i 4 Dywizji Konnej Armii. Całe pole bitwy usłane jest trupami ludzi i koni. Do sztabu dywizji dociera rozkaz operacyjny Budiennego na dzień 31 sierpnia. Rozkaz ten znaleziono przy dowódcy brygady, który zginął cięty przez por. Kuchanowicza z 2 pułku szwoleżerów. Zginęła też kobieta, komisarz, dzielnie prowadząca do boju czerwone pułki. Zwalną ją z konia por. Wojciechowski z 9 pułku ułanów, który dopiero gdy tamtej po ciosie szabłą spadła czapka, poznał po długich włosach, że miał do czynienia z kobietą.

Ze wzgórze 256 widać drogę z Miączyna do Werbkowic, zawaloną taborami i oddziałami konnymi, prężnymi na wschód — w kierunku przepraw na Huczwie i Bugu w okolicach Hrubieszowa. Konne baterie, które tymczasem przegalopowały na nowe stanowiska, walą salwami w całą tę zbieraninę, wszczynając panikę.

### Gdzie jest 6 Dywizja?

Ze zdobytego rozkazu operacyjnego wynika, że 11 Konarmiejska Dywizja miała nacierać na Komarów, 6 Dywizja na Łabunie, 4 na Zamość, a 14 na Grabowiec. Rozbite pod Komarowem 11 i części 4 Dywizji Konarmii stworzyły nową sytuację. Jednakże niekiedy 6 Dywizja mogła znajdować się gdzieś blisko, tylko gdzie?

Tymczasem 14 pułk ułanów jazłowieckich w luźnych szykach nacierał w kierunku na Niewiarków i Koniuchy. Teraz tutaj przesunął się środek ciężkości bitwy. Jest już późno popołudnie, ludzie są straszliwie zmęczeni, ustają opadłe z sił konie. Polskie oddziały są mocno rozproszone; w stojącym jako osłona baterii 2 pułku szwoleżerów pozostało zaledwie 150 szabel.

Ubezpieczający od północy szwadron „pancernych” melduje pojawienie się niepokojąco dużych jednostek jazdy od strony wsi Cześniki. Istotnie, na widniejącej w dali lizjerze lasów trwa ruch jakichś konnych oddziałów. Na dalekim przedpolu, jak w zburzonym mrowisku, we wszystkie strony galopują jeźdźcy. Gonią taczanki obydwu stron, polując na siebie wzajemnie. Grają karabiny maszynowe, opór bolszewików ponownie wzrasta. Nasze oddziały przechodzą miejscami do walki pieszej.

Jest już siódma wieczorem. Kończy się bezchmurny, letni dzień i całe niebo płonie luną zachodu. Wśród Polaków narasta pewność, że bitwa jest wygrana, kiedy nagle w kierunku polskich linii wydziera z kopyta szwadron „pancernych”. Pędzą beładnie. Jakoż zaraz powód tej galopady staje się jasny. Skraj lasów rozbił się nagle ogniem taczanek i po chwili wyłoniły się zeń ciemne kolumny jazdy. To właśnie 6 Dywizja Konnej Armii, kierując się hukiem armat, dotarła w końcu pod Komarów. Formują się w wielkim porządku

i od razu ruszają do natarcia. I znów spod kopyt wstają ogromne chmury kurzu, które skrywają wszystko. Zachód czerwonymi iskrami odbija się w klingach wzniesionych szabel. Jak poradzą sobie z nimi zmęczone i zdziśiatkowane polskie pułki?

Idzie do szarży cała dywizja. Suną jak groźna fala. Przed nimi leci grzmot kopyt i krzyk — urra! — rzucony z tysięcy gardeł. Widok to przerażający. Ułańskie szwadrony zbierają się w najwyższym alarmie. Biegają rozkazy do pułkownika Plińskiego: niech zbiera wszystko, co ma, i natychmiast uderza w odkrytą flankę sowieckiej dywizji. Artylerzyści konni obracają działa i rozpoczynają morderczy ogień. Nigdy jeszcze działocznicy nie były wykonywane tak błyskawicznie. Wszyscy wiedzą, że walczą o zwycięstwo i o własne życie.

Jest wśród nich jeden działon zdobyty wczoraj pod Tyszowcami. Jego obsada prosiła, by mogła pozostać przy swojej armacie i walczyć z Budiennym. Przewodzący im ogromny kozak woła za każdym wystrzałem: „Wot wam sukiny diety!”

Poleciały do boju taczanki ósmego i dziewiątego pułku ułanów. Wyszyły daleko na flankę wroga i poczęły zalewać bolszewickie szwadrony lawiną ognia. Wspólna praca artylerii i taczanek daje widoczne rezultaty. Mieszają się szeregi, dziesiątkami walą się ludzie i konie.

Dziwιάty pułk ułanów rusza do szarży. Z prawej strony zbliżają się galopem pułki VI Brygady. Pędzą krechowscy, pędzą ułani jazłowieccy, wszyscy mierzą w tyły i flankę konarmiejskiej dywizji.

Szykuje się do szarży, stojący w linii szwadronów, 8 pułk ułanów imienia Księcia Józefa Poniatowskiego. To już ostatni odwód i od niego zależeć będzie wszystko. Czy poradzą sobie, czy okażą się godni swojego patrona? Cwałem przepadają do pułku sztab dywizji z pułkownikiem Rommlem na czele. Wszystkie rozkazy już wydane, już nic więcej zrobić nie można, można tylko zwyciężyć, a do tego prócz męstwa niezbędny jest własny przykład. I to jest właśnie ta jedyna chwila, gdy miejsce dowódcy znajduje się na czele.

Rozkaz „marsz-marsz”, pułk rusza klusem i natychmiast przechodzi w galop. Na skrzydle sztab dywizji z obnażonymi szablami. Gnają na siebie konne szeregi. Już widać czerwone spodnie kozaków, rozwiane burki, kubanki i rozwarte w krzyku usta. Jest ich tysiące. Cóż znaczy kilkadziesiąt polskich szabel?

### Zwycięska szarża

Tempo szarży ósmego pułku zaczyna słabnąć, jeszcze chwila i załamie się, ale już do przodu wyskakuje linia oficerów i porywa za sobą ułanów. Nasze „hura!” zagłusza wszystko.

Czerwoni nie wytrzymują jednoczesnego uderzenia z trzech stron. Zawracają całe watahy kozaków, setki i tysiące ogarniętych paniką budiennowców zaczynają uciekać na lew na szyć. Rąbiąc i siekąc, nasi wsiadają im na karki. Pracują szablami do utraty tchu, do omdlenia ramion. Kto spadł z konia, ten zginął, tysiące końskich kopyt nie daje żadnych szans. To już nie jest wygrana, to pogrom. Rozgrzani walką, upojeni zwycięstwem, ułani pędzą za umykającym wrogiem, dzisiaj ich dzień krwi i chwały.

Zapada zmierzch i trzeba pozbiierać całe to rozrzucone konne bractwo. Pułkowi trębacz trąbią apel. Ze wszystkich stron ściągają zmęczeni, pokrwawieni i promieniujący zwycięstwem jeźdźcy. Bitwa skończona. Rozbita Konna Armia odpycha na wschód. Już nie będzie się poważnie liżyć w tej wojnie.

W polskie ręce wpadły ogromne tabory, w tym samochód Budiennego z jego osobistymi rzeczami. Jeńcy zeznają, że Budienny został ranny w szarży, którą prowadził. Stosunek sił kształtował się jak 1 do 5 na naszą niekorzyść. Straty? Nasze to 1/5 stanów. Przeciwnicy? Któż zliczy trupy zalegające pole bitwy aż po horyzont.

I tak odeszła do historii ostatnia wielka bitwa kawalerii w dziejach wojen, a z nią razem odeszła w chwale polska jazda. Jeszcze raz wprawdzie musiała pociągnąć w pole w roku 39, ale wówczas walczyła tylko o honor, nie o zwycięstwo, bo czas był już nie jej...

## LISTY

### „STU Z LUBLINA”

Jeden z moich znajomych z Lublina przestał mi numer, a właściwie kilka stron waszego tygodnika z artykułem p. Janusza Wrony pt. „Stu z Lublina”. Wśród owych stu znajduje się nazwisko mojego ojca. Przy błędnie napisanym nazwisku („ż”, a nie „rz”) brak wprawdzie innych danych, ale nie mam najmniejszych wątpliwości, że chodzi tu o niego, gdyż — po pierwsze — ojciec w latach 1944—1947 przebywał na terenie ZSRR, (między innymi w Specłagrze w Diabłowie) koło Riazania, a po drugie — na wymienionej liście znajdują się nazwiska osób, które z nim były. Informuję, że pozycja 82 na liście to Eugeniusz Henryk Swiężyński s. Henryka, ur. 18 lutego 1896 roku, aresztowany 12 sierpnia 1944 roku w Klementowicach.

Ojciec od 1936 roku był dyrektorem Państwowej Rocznej Męskiej Szkoły Rolniczej w Klementowicach. Przez całą prawie okupację szkoła była nieczynna, ojciec prowadził natomiast gospodarstwo szkolne, z którego utrzymywał rodziny nieobecnych nauczycieli (dwóch w obozach jenieckich) oraz pozostałych pracowników. Ponadto szkoła była ośrodkiem kontaktowym dla różnych organizacji podziemnych.

Po wkroczeniu Armii Czerwonej ojciec zgłosił się do władz oświatowych w Lublinie, został zaangażowany i wrócił z poleceniem przygotowania szkoły do otwarcia. Owego sierpniowego popołudnia przyjechali na teren szkoły dwaj oficerowie radzieccy w towarzystwie znanego nam mieszkańca wsi, który coś im tłumaczył i pokazywał na trzymanej w ręku kartce Oświadczyli, iż mają za zadanie pomagać organizującym się instytucjom. Ponieważ Niemcy zabrali ostatnią parę koni, a czas był złyny — ojciec spytał, czy nie mógłby dostać koni do zwózki. Odpowiedzieli, że to żaden problem. Wydawało nam się podejrzane, że poza ojcem nie chcą zabrać nikogo do przyprowadzenia tych koni, ale brak miejsca w samochodzie mógł to usprawiedliwiać. Jeszcze raz przyjechali w nocy uspokoić matkę, że ojciec jeszcze nie wrócił, ale „zagulastia”.

Nazajutrz matka rozpoczęła poszukiwania. Obywatel towarzyszący oficerom odpowiadał mętnie, że on nic nie wie, że jemu, jako stróżowi porządku (miliicy nazwali się znacznie później), kazano przyprowadzić tych oficerów do szkoły, ale kto mu kazal, nie potrafił wyjaśnić. Po wielu perypetiach matka znalazła ojca na terenie dawnego obozu w Majdanku, gdzie przywożono takich „potrzebujących pomocy”. Zobaczyła ojca za drutami, ale podejść nie mogła, gdyż piśnujący więźniów „bojcy” informowali, że siedzą tu kolaboranci, którzy współpracowali z Niemcami.

Opisane przez pana Wronę warunki obozowe, czas i sposób przeprowadzenia głodówki oraz jej przebieg odpowiadają w ogólnych zarysach temu, co opowiadał ojciec. Celem głodówki więźniów było uzyskanie odpowiedzi na pytanie, jaki jest ich formalny status. Aresztowani — za co? Internowani — dlaczego? Wzięto ich z terenu własnego kraju — jeńcy? Przecież nie walczyli z Armią Czerwoną. Podzieleni byli na dziesiątki, które wzajemnie podtrzymywały się na duchu i pomagały sobie. Ojciec był „szefem” takiej dziesiątki, która wytrzymała do 10-go dnia.

Powrót był dwustopniowy i, być może, dla części prowadził przez Borowice. Grupa, w której znalazł się ojciec — mimo solennych zapewnień radzieckiego generała, że wracają do kraju — znalazła się pod Wołogdą w obozie umieszczonym na wyspie (półwyspie?), otoczonej sztucznym zalewem. W obozie tym siedzieli już Niemcy z armii Paulusa. Ojciec z „grupą generalską” i kilkudziesięcioma ofi-

cerami wrócił 4 listopada 1947 r. do Białej Podlaskiej. Czy wrócili wszyscy? Na pewno nie. Poza zmarłymi, wiele osób zginęło przy próbach ucieczki. Nie wrócił z Wołogdy np. „mjr Żegota”, który w tym czasie „wędrował” na własną rękę (po udanej ucieczce) i został złapany dopiero na granicy (na wysokości Suwałk). Odwieziony na powrót do Wołogdy, znalazł się w domu kilka miesięcy później [...].

Pierwszą wiadomość, że ojciec żyje, otrzymaliśmy jesienią 1945 roku. Nieznany człowiek polecił spotkanemu na podwórzu chłopcu, aby powiadził mojej matce, że ojciec jest w obozie w Riazaniu. Przysłała też kartka pocztowa, pisana jakoby przez żołnierza radzieckiego, który na froncie pod Puławami miał u nas kwatrować. W karcie były pytania o członków naszej rodziny mieszkających w Warszawie, Kutnie, Poznaniu, o których na pewno taki żołnierz nie mógł wiedzieć. Karta pisana była po rosyjsku, ale charakter pisma wskazywał, że pisał ją ojciec. Po powrocie ojciec mówił, że karta ta kosztowała go 6-tygodniowy przydział chleba. Co to znaczy, zrozumie tylko ten, kto był naprawdę w swym życiu głodny. Ojciec po powrocie ważył 36 kg, a był po etapie odżywienia w Wołogdzie.

Pierwszą interwencję w sprawie ojca, i to na b. wysokim szczeblu, spowodowała mama. Na ulicy w Lublinie spotkała adwokata, któremu w czasie okupacji ojciec załatwiał dokumenty dla syna poszukiwanego listem gończym przez gestapo. Adwokat obiecał mamie wizytę u Bieruta, przy którym zajmował stanowisko doradcy prawnego. Już na drugi dzień wprowadził mamę do Prezydenta, który z miejsca zwymyślał go, iż sprowadza „jakieś baby”, gdy on kładzie podwaliny pod niepodległą Polskę. Następnie zwrócił się do matki: „Wam kto aresztował męża?” i na odpowiedź, że było dwóch oficerów radzieckich i o aresztowaniu nie było właściwie mowy — odpowiedział: „To idźcie do władz radzieckich”. Gdy matka zaczęła coś mówić, że przecież jesteśmy w Polsce i prosi o pomoc polskiego najwyższego dostojnika, wyrzucił ją za drzwi.

Drugi raz, już jako student UMCS, zwróciłem się z kilkoma osobami — będącymi w podobnej sytuacji — do rektora H. Raabego, który był równocześnie ambasadorem w Moskwie. Obiecał sprawdzić, ale po kolejnym powrocie oświadczył, że nic pomóc nie może [...].

Po powrocie do kraju ojciec podjął pracę w Centralnym Związku Plantatorów Roślin Okopowych; początkowo w oddziale lubelskim, a następnie w centrali w Warszawie. Po objęciu opieki nad Związkiem przez „Samopomoc Chłopską” i złożeniu ankiet personalnych, ojciec natychmiast został zwolniony. Przez prawie rok nie mógł nigdzie dostać pracy. W wielu instytucjach poszukujących pracowników z wykształceniem rolniczym wityny był „z otwartymi rękami”, a po złożeniu ankiet, w której, oczywiście, nie ukrywał pobytu w obozie — otrzymał odpowiedź, że sprawa chwilowo nieaktualna i żeby dowiadywał się za tydzień, dwa, miesiąc lub kilka miesięcy (w zależności od podłości kadrowego).

Wreszcie, gdy sytuacja wyglądała bardzo źle, ojciec został zaangażowany do pracy w Instytucie Ochrony Pracy (ówczesny dyrektor instytutu słyszał o działalności przedwojennej ojca, a mając widać dostatecznie silną pozycję „ideologiczną”, załatwił sprawę pozytywnie). Ojciec zorganizował w Instytucie Zakład Bezpieczeństwa i Ochrony Pracy w Rolnictwie. Opracował nawet kilka projektów zabezpieczeń w maszynach rolniczych, ale do pełnego zdrowia już nie wrócił. Po sukcesach w nowym miejscu pracy trochę się ożywił, ale serce coraz bardziej dawało znać o sobie. Zmarł 7 listopada 1955 roku w wieku 59 lat.

Krzysztof Swiężyński  
Warszawa



## Gorące Wilno

**Z**A kilka lat nie będzie u nas ani jednego starego teatru. Teatr Opery i Baletu — ogromny, 1149 miejsc! Akademicki — wspaniały, elektroniczna aparatura oświetleniowa z zakodowanym programem! Młodzieżowy zrobił furorę w Polsce, a „Wujaszka Wanię” przedstawiono do nagrody państwowej ZSRR! No i w ogóle u nas w teatrach nie ma pustych miejsc, o bilety trzeba starać się kilka miesięcy wcześniej... — z dumą mówi dr Algis Kaleda, lat 35, rodowity Litwin, chociaż związany z Polską tak ściśle, że...

— Nie wierzę w stuprocentową frekwencję w teatrach — wyrzywa mi się.

— Nie? Proszę uprzejmie, oto jest bilet na dzisiejszy spektakl, odstąpię go panu. Pójdzie pan z moją żoną. Na „Hamleta” — ripostuje Algis płynną polszczyzną.

Podwójnie zaskoczony, milknę. A potem wybucha rozmowa, która trwa i trwa. Algis po ukończeniu w Wilnie lituanistyki został skierowany na Uniwersytet Jagielloński, który pożegnał w 1977 roku z dyplomem magistra polonistyki i... żoną Barbarą, rodowitą krakowianką, studentką filologii rosyjskiej. Polonistyczny obywatel Kraju Rad i rusycystyczna obywatelka PRL stworzyli stadło, które śmiało nazwać można współczesną unią polsko-litewską, zawartą tym razem nie w Lublinie, a w Krakowie.

Po studiach osiedli w Wilnie. Łukasz urodził się jeszcze w grodzie Kraka, może dlatego jego polszczyzna jest znakomita, a polskie książki pochłania łapczywie, choć z litewskim też problemów nie ma. Algis pracuje naukowo w Instytucie Języka i Literatury Litewskiej Akademii Nauk (odpowiednik naszego IBL PAN). Barbara jest redaktorem polskiej edycji miesięcznika „Kobieta Radziecka”, który ostatnio zmienił nazwę na „Kobieta”. On napisał książkę o Mickiewiczu i mógłby o nim rozmawiać dniami i nocami, z sentymentem wspominając seminarium magisterskie u prof. Henryka Markiewiczza.

— Zapoznał nas i zbliżył do siebie właśnie Mickiewicz... — wspomina Algis namiętne lata. No i jeszcze coś: ostatnio Barbara i Algis Kaledowie zaniesli do wydawnictwa wazliżkę wypełnioną po brzegi maszynopisem opracowanego przez nich (przy współudziale Marii Niedzwiedkiej) pierwszego po II wojnie „Słownika litewsko-polskiego”. Cóż za klarowny symbol współczesnej unii...

I tak oto dzięki gościnności Algisa znalazłem się u boku pani Barbary Brzezińskiej-Kaledy w domu

„Pod Trzema Kobietami”. Trzy dynamicznie pochylone do przodu muzy w długich szatach górują nad fasadą Państwowego Teatru Dramatycznego Litewskiej SRR. Gmach imponujący. Główna sala widowiskowa na 650 miejsc ma wspaniałą akustykę i scenę zbudowaną według najnowszych wymogów techniki teatralnej. Na III piętrze jeszcze jedna sala (160 miejsc) — scena do spektakli eksperymentalnych, mnóstwo pokoiów dla pracowników teatru, dwie sale ćwiczeń, kąpielki rekreacyjne, pomieszczenia mieszkalne. W afiszu — obok Szekspira, Ibsena, Bułhakowa, Molière — widzę i polski akcent: L. Kruczkowski „Pierwszy dzień wolności”.

## HAMLET PO KOWBOJSKU

Henryk Makarski

Sala pełna, rzeczywiście... Kurtyna w górę. Wsłuchuję się w twarde i melodyjne zarazem brzmienie języka litewskiego, ostrego języka wodzów i wojowników. Oto przed nami Viljamas Szekspyras i jego czołowe dzieło — „Hamletas”. Trudno ten język zrozumieć, jakże inny od języków słowiańskich (ze wszystkich języków bałtyckich ten najwierniej zachował lekkyte praindoeuropejską, stąd Wilno światowym centrum bałtystyki). A takiego Hamleta jeszcze nie widziałem. Nie wiem, jak oceniliby kreację Ramunasa Abukewiczusa jego wielcy poprzednicy (wśród dziesięciu widniejących w programie Hamletów odnajduję Włodzimierza Wysockiego i Daniela Olbrychskiego), ale ja jestem oszołomiony. Na scenie widzę i słyszę młodziana całkiem współczesnego, bez krzty patosu, aczkolwiek pełnego gwałtownych uczuć. Muzyka big-beatowa, młodzieńcy w budrysówkach i butach-skuterach, ni to kowboje ni komandosi-marines. Hamlet łapie Ofelię za kolano gestem XX-wiecznego żubika, a kiedy wygłasza sakramentalne „buti ar nebuti — stai klausimas”, nie mam już wątpliwości, że młoda i urodziwa pani reżyser Irena Bucziene zrobiła z dzieła Szekspira studium psychologiczne współczesnej młodzieży. „Być albo nie być” tutaj brzmi jak „być albo mieć”...

Przerwę między aktami wykorzystujemy na spacer dookoła olbrzymiego hallu — taki tu miły obyczaj. Wieczorowa elegancja dostojnie uśmiecha się do siebie...

I znowu mówi Hamlet: „Czymże jest człowiek, jeżeli najwyższym jego zadaniem i dobrem na ziemi już tylko spanie i jadlo? Bydłęciem, szczerym bydłęciem...”

Kiedy wychodzę z teatru, w uszach dźwięczą mi końcowe słowa Fortynbrasa, przetłumaczone przez panią Barbarę:

„Co się mnie tyczy, z boleścią przyjmuję.  
Co mi przyjazny los zdarza; mam bowiem

Rozmowy polsko-litewskie trwają aż po świt. Nie tylko o Mickiewiczu i nie tylko o teatrze (ojciec pani Barbary był zawodowym aktorem w teatrze Szajny). Tematów nie brakuje...

Natomiast. Oglądam telewizyjną transmisję imprezy „Red-Rock-Vilnius”. Jakiś zespół III kategorii zawodzi coś i nagle twarz nadcazła zła siania cały ekran:

— Największą bolączką dziś jest zakłamanie. Rock to muzyka młodzieżowej wspólnoty, ona nigdy nie kłamie! Im więcej koncertów, tym więcej prawdy! Zawsze mówimy to, co myślimy! Red rock to historia, która dzieje się w nas!

Kamera precyzyjnie cofa się, ujawnia inne twarze: — Starsi? Oni już nie nie mogą! Życie dorosłych to same kompromisy! Zawsze będziecie tańczyć tak, jak wam zagrają!!! — twarz z językiem na brodzie ze złością atakuje kamerę. Kamerzysta zrezygnuje robi unik. Za chwilę kamera z energicznym wdziękiem znów na jeżdża na młodzież. Słychać zgrzytanie białych, wypielegnowanych zębów...

Wyłączam telewizor. Biorę do ręki pożyczony od znajomych Szekspira, otwieram na chybił trafiał, sonet 66:

„Znużon tym wszystkim  
pragnę tylko śmierci:

Widzę jak zasług mieniem  
kij zebaczy.

I jak się niccość napuszona wierci,

I jak i szcerość przysięga inaczej,

I jak niegodnym krzyże dają złote,

I jak zdeptana jest dziewiczość miła,

I jak prawdziwą ukrzywdza  
się onotę.

I jak przez słaby rząd kuleje siła,

Jak wobec władzy sztuka mdła  
jest w słowie

I jak nad wiedzą pieczę mają błazni,

I jak prostactwem prostota  
się zowie.

Jak dobro więziem, a zło  
stróżem kaźni:

Znużon tym wszystkim, chciałbym  
odejść w ciemnię.

Jeno że nie chcę, byś został  
beze mnie...”

Przyglądam się w lustrze: wzrok jeszcze żywy, skroń już wyblakła. Między spojrzeniem a siwizną — milczenie.

## LISTY

### ZA CO VIRTUTI MILITARI?

List, który piszę, z pewnością nie jest na czasie, gdyż dotyczy spraw dawno przebrzmiałych, należących już do historii. Chodzi o wojnę polsko-bolszewicką 1919—20 roku, a właściwie o niewiele znaczący epizod z pola walki. Cofnę się do dnia 1 VIII 1930 roku, kiedy to warszawski „Kurier Poranny” wydrukował artykuł pt. „Virtuti Militari”. Pozwolę sobie na dosłowne przytoczenie treści tego artykułu:

„W decydującym okresie walk 1920 roku, po zdobyciu przez piątą kompanię 2 p.p. Legionów wsi Tereszczany, sierżant Antoni Pajak otrzymał rozkaz obsadzenia sąsiedniego wzgórza, które panowało nad całą okolicą i od którego utrzymania zależały losy walki. Sierżant Pajak obsadził wzgórze z szesnastoma żołnierzami i karabinem maszynowym.

Tymczasem batalion 2 p.p. Leg., w skład którego wchodziła 5 kompania, pod naporem przeważających sił kawalerii i piechoty bolszewickiej musiał wycofać się ze zdobytej wsi, a wzgórze obsadzone przez pluton sierżanta Pajaka, zostało ze wszystkich

stron otoczone przez czerwoną kawalerię. Zaczęła zażarta walka. Watahy kozaków, wspieranych przez krasnoarmiejców, szarżowały kilkakrotnie na wzgórze, ataki jednak załamywały się w ogniu kulomiotu i granatów ręcznych. Gdy jednak dość znaczna grupa kozaków, pomimo morderczego ognia, zdołała dotrzeć do stanowisk oddziału sierżanta Pajaka, żołnierze pod jego dowództwem bagnietami unicestwiali napastników.

Wreszcie batalion, po opuszczeniu Tereszczan, zdołał uporządkować się i znów rozpoczął natarcie. Korzystając z tego, sierżant Pajak, który przy odpięciu kozaków został ciężko ranny, już tylko z dziewięcioma żołnierzami, walcząc granatami i bagnietami, przetrwał przez otaczające go watahy i dotarł do stanowisk batalionu.

Za pogardę śmierci i brawurę oraz za utrzymanie wzgórza, co umożliwiło sformowanie się naszych oddziałów, sierżant Pajak odznaczony został krzyżem Virtuti Militari”.

Antoni Pajak był moim ojcem, który zginął na Zamku lubelskim w 1941 roku. W moim posiadaniu znajduje się legitymacja, jak też i krzyż Virtuti Militari, nadany rozkazem Wodza Naczelnego z dnia 6 XII 1921 roku, oraz tenże „Kurier Poranny” z powyższym artykułem.

Nawiązując do orderu wojennego Virtuti Militari — nie chodziło mi tylko o powrót do wspomnień, chodzi mi o coś więcej, a mianowicie: za jakie to zasługi bojowe otrzymał najwyższy polski order wojenny Virtuti Militari L. Breźniew? (i nie tylko on!). Żyją przecież jeszcze ci ludzie, którzy mu ten order nadawali. Więc niech się teraz z tego wytlumacza. Dlaczego to dzięki nim najwyższy order wojenny uległ w Polsce Ludowej takiej dewaluacji i poniżeniu.

Dlatego też uważam, że Sejm, Senat bądź też sam Prezydent winni po prostu cofnąć nadane tak pochopnie odznaczenia tak niewłaściwym ludziom, a tym samym naprawić moralną krzywdę wyrządzoną olbrzymiej większości narodu polskiego!

Zygmunt Pajak  
Świdnik

### „KONIEC DEMOKRACJI CZY FRÓBA RATOWANIA PAŃSTWA”

W „Relacjach” nr 17 na str. 1 zamieszczono zdjęcie, pod którym umieszczono taką informację: „Na zdjęciu trumna ze zwłokami Marszałka Józefa Piłsudskiego w drodze do krypty św. Leonarda na Wawelu”. Ponieważ nr 17 „Relacji” ukazał się w dniu egzaminów maturalnych, spostrzegaw-

cza młodzież z pewnością wystawiła Redakcji przystawioną dwójkę! Otóż, jak wiadomo, trumna ze zwłokami Marszałka spoczywa na Wawelu w krypcie wieży Srebrnych Dzwonów, a nie w krypcie św. Leonarda. Trumna stoi tam samotnie, opodal grobów królewskich, co było wynikiem pewnych zatargów z arcybiskupem Sapiehą.

Dla przypomnienia dodajmy, że krypta św. Leonarda, jak i dolna część wieży Srebrnych Dzwonów, to pozostałość drugiej romańskiej katedry Władysława Hermana, wzniezionej na Wawelu w początkach XII w. Krypta św. Leonarda jest okazałym reliktem romańskiej bazyliki. W niej spoczywa między innymi Tadeusz Kościuszko, tam też proponuje się umieszczenie prochów generała Władysława Sikorskiego po sprowadzeniu do kraju.

Marian Makarski  
Lublin

Podpis pod zdjęciem jest prawidłowy. Otóż, jak wiadomo, trumna ze zwłokami Piłsudskiego spoczęła w krypcie św. Leonarda. Dopiero w czerwcu 1937 roku — decyzją metropolity Sapiehy — przeniesiona została do krypty pod wieżą Srebrnych Dzwonów, gdzie znajduje się po dzień dzisiejszy.

(Red.)



# NOTATNIK ANGIELSKI (6)

Andrzej W. Pawluczuk

**B**RIGHTON (160 tys. mieszkańców) nazywane jest „nadmorskim przedmieściem” Londynu. Ze względu na dobre warunki klimatyczne, czyste morze i wygodne połączenie kolejowe, przyjeżdża tu się ze stolicy na weekendy. Czyste morze w kanale La Manche, tym najbardziej na świecie zatłoczonym przez statki miejscu? Nie wiem, jak oni to robią w kapitalizmie, tym fatalnym ustroju, gdzie wszystko przelicza się na pieniądze, ale faktem pozostaje, że utrzymywanie wybrzeża w czystości jest tutaj procederem oplacalnym, przynoszącym zysk.

Zapewne polega to na tym, że czysta woda i czysta plaża zapewniają stały dopływ wczasowiczów. I trzeba powiedzieć, że na początku maja Brighton tętniło życiem jak w pełni sezonu. Tłumy na plaży (ciągnącej się kilka kilometrów) i nadmorskiej promenadzie, ruch w porcie jachtowym i mnóstwo samochodów z zamiejscową rejestracją. Zresztą urlopowiczów poznaje się na całym świecie po ubiorze i lekceważeniu czasu: chodzą wolniej, często przystają, rozglądają się, słowem — na pierwszy rzut oka widać, że nie idą do pracy ani z pracy nie wracają.

Tak samo i ja: kiedy tylko miałem wolną chwilę, podziłem nad morze, które przypominało mi zapach polskiego Bałtyku. Na fotografii widać, że 10 maja nadmorskie życie funkcjonowało już w całej krasie. Nikt nie czekał na magiczną datę wakacji, aby uruchomić swój interes ku wygodzie zamiejscowych gości. A kto się spóźnił — czyścił i malował swój sklep czy hotel, aby i do niego zawitali klienci.

Na czym to wszystko polega, że w środkowo-europejskiej strefie klimatycznej Brighton leży nad czystym morzem i na początku maja funkcjonuje już jako kurort, a nasz Sopot jest martwą, brudną, rozpadającą się miejscina, gdzie nic nie działa, i która leży nad morzem zatrutym ściekami? To było podstawowe pytanie, jakie sobie nieustannie zadawałem. Architektura, pejzaż, kuchnię i kobiety angielskie opisałem przede mną lepiej i kompetentniej. Dlatego ja tropię to, co umykało dotąd zawodowym opisywaczom zamorskich krajów: ducha tutejszej cywilizacji.

**D**ZIESIĘĆ lat temu, w epoce późnego Gierka, można by było powiedzieć, że takie Brighton stanowi dla nas wyzwanie (tak, jak swego czasu tzw. robotyzacja w przemyśle). Na pewno nie jest to miasto ładniejsze od naszego Sopotu. Przeciwnie: architekturę ma bardziej monotonna, układ przestrzenny mniej ciekawy i — w przeciwieństwie do Sopotu — leży na płaskiej jak stół równinie. W ogóle architektura angielska, zwłaszcza mieszkaniowa (nie mówię oczywiście o tzw. rezydencjach, ale mieszkaniowej masowce) jest bardziej jednolita i monotonna od naszej. A już na pewno nic w Brighton nie może się równać sopoćkim willom, tej ogromnej różnorodności, tym wieżyczkom, spadzistym dachom, wykuszom, które każdemu domowi zapewniają osobny, osobisty styl. Słowem — w Sopotcie co rusz natykamy się na architektoniczną niespodziankę. Tylko że Sopot ma dziesięć razy mniej miejsc hotelowych, sto razy mniej sklepów, tysiąc razy mniej klubów nocnych, tysiąc razy brudniejszą plażę i morze.

Aby kurort przynosił pieniądze, duże pieniądze, musi tętnić życiem, to znaczy — musi tu być wszystkiego pod dostatkiem. Najpierw — hotele o odpowiednim standardzie, ale i odpowiedniej do zarobków cenie. A zatem nocleg w numerze z telefonem, łazienką i telewizorem nie powinien przekraczać połowy przeciętnej dniówki pracownika najemnego. W Polsce powinno to wynieść nie więcej niż 1700—2500 złotych według stanu na dzień 15 lipca i przeciętnej płacy w granicach siedemdziesięciu — stu dwudziestu tysięcy. Dalej — musi być dużo sklepów z żywnością, ale jeszcze więcej barów, restauracji i stoisk z napojami i kanapkami.

I wreszcie — powiem tutaj herezję — nie może być żadnej prohibicji, a przeciwnie: jak największej ilości alkoholu w sklepach, barach, kawiarniach i restauracjach. Bo zastanówmy się; u nas przy każdym sklepie, gdzie sprzedaje się piwo czy wódkę, zawsze gromadzą się męty z całej dzielnicy, a w knajpie, gdzie prowadzi się tańszy wyszynk, jest zawsze tłok, smród, brud — tak, jak w lubelskim „Karasiu”. Dlaczego? Ponieważ takich sklepów, gdzie sprzedaje się piwo i takich miejsc taniego wyszynku jest wszędzie jak na lekarstwo, a ludzi, którzy chcą się napić — nigdy i nigdzie nie brakuje. Toteż w Polsce ci ludzie gromadzą się zawsze w kupie i tłoku. I smrodzie, albowiem w takim tłoku utrzymanie pewnego standardu higienicznego staje się niemożliwe. A przecież gdyby takich „Karasiów” było w Lublinie 20—30, ci wszyscy

pijaczkowie, zamiast siedzieć na kupie, pijąby blisko swoich domów. Na jedną knajpę przypadłoby może trzech, może pięciu pijaczków i nie byłoby oni w stanie zdominować obyczajowo i higienicznie pozostałych klientów, którzy przyszliby do takiego „Karasia” zjeść obiad i wypić butelkę zimnego piwa. Wtedy w każdym lokalu byłoby czysto, pachnąco i przyjemnie. Ale aby tak było, owych lokali musi być całe mnóstwo. I musi być w kraju pod dostatkiem piwa.

Dlaczego nie ma jednego i drugiego? I dlaczego alkohol jest u nas problemem numer jeden? Jeszcze sto lat temu zalewała Wielką Brytanię plaga pijaństwa. Do dzisiaj zresztą Brytyjczycy, a zwłaszcza Szkoci, piją jak Polacy: dużo i ostro, i Wyspy są dzisiaj chyba jedynym krajem Zachodu, gdzie — jak w Polsce — spotka się na ulicy, w biały dzień, pijanych.

Spotyka się, ponieważ wschodnioeuropejskie, zakompleksione oko wychwytuje tego rodzaju podobieństwa natychmiast, choćby były kilkakrotnie rzadsze. Ale przecież alkohol jest tutaj, w porównaniu z zarobkami, dziesięć razy tańszy i dziesięć razy bardziej dostępny, bo w każdym sklepie za rogiem i od samego rana. A przy tym w naszym „Cosmopolitan Hotel” o północy bar alkoholowy był zamykany i żadnym błaganiem nie



Brighton od strony morza

Fot. Stanisław Kral

dało się po tej godzinie wskórać szklaneczkę whisky czy puszkę piwa. Kto chciał jeszcze pić, mógł pójść do baru po sąsiedztwu, ale tutaj, w „Cosmopolitan” licencja na sprzedaż alkoholu obowiązywała tylko do północy. Pomyślałem sobie wówczas, że właśnie na tym polega praworządność. Obywatel, który nie styka się z samowolą władzy i który nie potrafi tej władzy przyłapać na łamaniu prawa, przestrzega przepisów jako naturalnego porządku rzeczy. Wie on bowiem, że nikt mu nie odbierze licencji na wyszynk i prowadzenie hotelu dopóty, dopóki nie złamie prawa. Wie, że z powodów politycznych nikt mu nie zwiększy podatków i nikt go nagle nie wywłaszczy z jego własności dlatego, że ma inne — niż władza — poglądy. Ale gdy prawo złamie — nic i nikt mu nie pomoże, nawet gdyby był członkiem rządzącej aktualnie partii. Afery są, oczywiście, donoszą o nich gazety, bo wszędzie tam, gdzie istnieje pieniądź, znajdzie się przekupnych funkcjonariuszy. Tylko że w kraju praworządnym, przekupnym urzędnikiem można być tylko raz. Tam nie ma karuzeli stanowisk, nie ma nomenklatury, tam jest socjalizm prawdziwy, a nie „realny”, ponieważ opinia publiczna, przy pomocy wolnej prasy, naprawdę kontroluje tam polityków.

**A**LE dopyć o tym, gdyż miało być o Sopotcie i piwie. Piwa jest na świecie sto tysięcy gatunków, ale kto w świecie bywał, ten przyzna mi, że „Okocim”, „Żywiec”, łomżyńskie „laleczki” i białostockie „Mocne” mogą skutecznie konkurować z najlepszymi markami zachodnimi. Ale nie konkurują. Dlaczego? Ano dlatego, że ich nie ma, są nieobecne. Nomenklaturowi funkcjonariusze polskiej gospodarki socjalistycznej wolą sprzedawać za granicę surowy chmiel, niżli zrobione z niego piwo. Dlatego i w kraju brakuje piwa a sytuacja podatkowa jest: na dodatek taka, że nie

opłaca się inwestować w piwowarstwo, mimo że byłoby z tego niemałe dolary, a jeszcze większe ruble, gdyż piwa w ZSRR także permanentnie brakuje (uwaga dla lubelskiej cenzury: nie jest to chyba podważanie sojuszy i ingerencja w wewnętrzne sprawy ZSRR).

Dlaczego więc Sopot jest na tle Europy zapadłą dziurą, gdzie na starych domach luszczy się farba i gdzie wszystkiego brakuje? Może odpowie na to pytanie kompetentnie prezydent miasta Sopot albo wojewoda gdański? Nie chciałbym pospieszyć ferować wyroków, zacekajmy zatem na wypowiedź oficjalnych czynników.

Więc... Brighton, nazywane w przewodnikach „pierwszym uzdrowiskiem brytyjskim”. A w Londynie powiada się ponadto, że coś jest tak angielskie „jak molo w Brighton”. Jest to molo na fotografii, ale nie bardzo tu widać, na czym miałyby polegać „angielskość” tego mola. Więc powiem w skrócie. Otóż, po pierwsze, jest ono kilkakrotnie dłuższe i zbudowane ze stali. I kilkakrotnie szersze, co sprawia, że na molo mogą znajdować się sklepy, kawiarnie, restauracje i wesołe miasteczka. To zresztą widać na fotografii: molo jest szalenie zabudowane, ale tu nie chodziło o to, aby zabudować, ale — zagospodarować, to znaczy stworzyć strukturę, gdzie klient czuje się dobrze (bo u siebie), a przedsiębiorca ma z tego dochody.

Dlatego molo w Brighton jest czymś w rodzaju osobnego miasta. Kupić tu można wszystko z wyjątkiem samochodu i odrzutowca, zjeść można także wszystko, z wyjątkiem bigosu i ruskich pierogów. Ta wieża, którą widać na fotografii — to część wesołego miasteczka, a te kopuły — to sklepy i restauracje z wykwintnym jedzeniem i znakomitymi napitkami. A wchodząc na to molo nie płaci się żadnego wstępu. Cóż, życie codzienne w kapitalizmie jest więc tańsze niż w socjalizmie „realnym”.

**W** „OLD Ship Hotel” przy przynajmniej głównej ulicy w Brighton znajdował się klub nocny, do którego dostaliśmy karty wstępu jako uczestnicy festiwalu. To było fascynujące przeżycie: chodzić do ekskluzywnego klubu brytyjskiego i być w tym klubie pełnoprawnym członkiem. I trzeba powiedzieć, że czułem się tam, jak i wszyscy ludzie z „Gardzienic”: dobrze i na swoim miejscu. Wprowadziłem i strojem, i mową odróżniłem się od stałych kuryantów klubu, ale traktowano nas z pełną kurtuazją jako ludzi sztuki, którym przystoi odmienny strój. Zawsze było dla nas miejsce przy barze i zawsze był dla nas wolny stolik. I — nigdy nie byliśmy sami, ponieważ było mnóstwo ludzi, którzy chcieli nas poznać, zaprzyjaźnić się z nami i postawić nam drinka.

I tu zaczynał się problem. W Anglii, tak jak w Polsce, istnieje zwyczaj tzw. kolejki. To znaczy: ja stawiam wszystkim przy stoliku, ale 15to następny też stawia wszystkim. I tak kolej przychodzi na nas, a wtedy nie ma wyjścia — ja też muszę postawić wszystkim. A taka kolejka kosztuje kilkanaście funtów. To jest drobniak dla kogoś, kto zarabia w Anglii, ale jest to wielki wydatek dla przybysza z Polski. Ale że przybysz z Polski nie może być dziadem, więc stawia tę kolejkę, co go zuboża, licząc polskie pieniądze, na około 75 tysięcy złotych. Jednak nie można być dziadem, nie można być wschodnim Europejczykiem. W Anglii trzeba być dżentelmenem. Tutaj nie da się oszczędzać, gdyż inaczej przestaje się być obywatelem i nie uczestniczy się w życiu towarzyskim.

Było coś bardzo światowego w tym, że od nas to znaczy od Teatru „Gardzienice” oczekiwano europejskiego stylu. I to jest ta dżentelmenia brytyjska, która sprawiała, że prawdziwy Europejczyk czuje się tam dobrze, na swoim miejscu.



**W**RACAMY do Lisznej na obiad. Marek spięty, rozdrażniony — nie wiem, prawosławie go odpycha, czy on prawosławie? Irytuje nas także turysta spieszony — teoretyk fizyki czy fizyk teoretyki? Chłopak ułożony do granic przyzwoitości, z tych co wszystko wiedzą najlepiej, a rzeczywistość mają pokrojoną na pęczki teorii, z których — i to chyba najbardziej nas drażni — żadna do tej rzeczywistości nie przystaje. Ale jeżeli ma się dwadzieścia lat i czeka na dziewczynę...

Na stole leży futerał na szczoteczke do zębów, machinalnie odczytuję napis: Bruno Terlecki.

— Zabrałeś synowi?

Marek bierze przedmiot do ręki, ogląda szczegółowo jakby widział go po raz pierwszy. Myślimy o tym samym, o rodzinach. Odczuwam oddalenie jakbym był na jakimś upiornym, dalekim wschodzie, a nie zaledwie dwieście kilometrów od domu. Myślę o żonie, ogarnia mnie dziwny opar podbity emocją, wrzuszam się. W dużej sali siedemnaście łóżek i nas dwóch, turysta pognął do klasztoru na spotkanie. Okna zamglone zielenią pobliskich drzew.

— Dla mnie podróż się skończyła — przerywa milczenie Marek.

— To zaledwie pierwszy etap! — budzę się zaskoczony.

Nie roztrząsam problemu, do jutra mamy czas, wszystko samo się wyjaśni.

— Zwróciłeś uwagę jakie Antoni miał czyste ręce? — słyszę. — Delikatne, jak kobieta. To nie był brudas.

— ?

— Wiesz, dlaczego nie chciałem, żeby przecedził mleko? Nosił cedzidełko w kieszeni spodni, a nie wszędzie mógł być czysty. Starość. Z powodu tej starości nie mógł poradzić sobie z dachem... Inaczej urzędasów by nie prosił.

I dodaje:

— Ty jednak jesteś obrzydliwy.

O osiemnastej ma celebrować nabożeństwo metropolita Bazyli. Po drodze zaglądamy w Jablecznej do małego, drewnianego kościółka — na południowej, zewnętrznej ścianie rozpięty Chrystus nadnaturalnej wielkości, w naturalistycznie oddanej scenie konania: wykrzywiona bólem twarz, wywrócone konwulsyjnie oczy straszają białkiem, ciało ochlapane obficie posoką. Czuję się jakby dzień mnie biczował.

Przy klasztorze dziesiątki autobusów, tłum pielgrzymów. Plac przycerkiewny wypełniony po brzegi; ludzie kręcą się, spacerują, rozmawiają. Przy dzwonnicy stragany z książkami, płytami i świętymi obrazkami. Po obu jej stronach rząd kwater z puszkami, skrzyneczkami, na których wypisano cel zbiórki. Przeważają ludzie ze wsi, ale nie brak i starannie ubranych, czujących się pewnie mieszczuchów. Przypomina to coś pośredniego między festynem a piknikiem, raczej zorganizowaną masówką, niż święto religijne. Przynajmniej my dwaj, czujący się obco ludzie, raczej obserwatorzy peryferii zdarzenia, niż zaangażowani uczestnicy, tak myślimy. O dostaniu się do cerkwi niema co marzyć.

Mimo woli nasuwają się porównania z obrządkami zachodnimi: tu swoboda — tam większe skupienie; prowadzenie nabożeństwa przez duchownego — raczej współuczestnictwo; prawosławne nabożeństwo wydaje się być wypełnianiem archaicznego kanonu, podczas gdy rzymskokatolickie jest raczej chłodnym, starannie przemyślanym, dostosowanym do czasu i ludzi procesem.

Siedzimy na trawniku, chłonąc architekturę w bujnych kasztanach i wywołując uwagę.

— Nigdy nie przeszedłbym na prawosławie — mruczy mój sąsiad. Wszyscy opętani masą, tłumem, a jednocześnie tak biedni i prozaiczni w normalnym życiu. Włem o czym myśli.

— Jednostka jest wielka, bo jest zdolna do wielkiego cierpienia. To widomy znak chrystianizmu — odpowiadam.

Nagle odkrywa związki z katolicyzmem, utożsamia się z nim akcentując słowo „nasz”. Przywołuje uroczystości poświęcenia kościoła gdzieś pod Bilgorajem, w których brał udział.

## Z BIEGIEM BUGU

Adam W. Kulik

Dziwię się: nigdy nie krył, że jego przekonania religijne są — delikatnie mówiąc — bardzo luźne. Ale ponieważ nic więcej nie mówi, nie pytam, traktując słowa jako jeszcze jedną deklarację, która może mieć pokrycie, ale nie musi.

Fascynuje mnie śpiew. Staram się skupić, wsłuchać, zaistnieć w nim, bezskutecznie. Gwar, swobodne poruszanie się setek ludzi uniemożliwia kontemplację. Podsluchuję rozmowy prowadzone w języku będącym zlepkiem polskiego, ukraińskiego i białoruskiego. Marka drażni ten zlepek.

— Mówią po chachlaku — półgłosem dzieli się uwaga.

Kilkunastoletnie dziewczyny w modnych, marmurkowych rajstopach i... w zawiązanych z tyłu głowy chustkach (tak wiązała chustkę moja babcia, tego już nigdzie nie ma). Nie przypuszczałem, że blisko Zamościa, który teraz leży przecież na kresach, jest enklawa czegoś tak odmiennego, egzotycznego, a jednocześnie bliskiego, wpisanego we wspólną historię przez setki lat.

— Dobrze, że prawosławie ma się tutaj jako tako — powiadam. — Bez niego byłibyśmy ubożsi.

Trzeba zjeść kolację i odpocząć. Tej nocy nie będziemy spali: o wpół do trzeciej na łęgach, w stojącej pięćdziesiąt metrów od Bugu kaplicy św. Ducha zostanie, jak co roku, odprawiona msza. Obserwuję narastanie Markowej wściekłości, jakby prawosławie wyzwalalo w nim wyjątkowo złe wspomnienia. Jest to wściekłość irracjonalna. Spieramy się o rolę kulturową, jaką wypełniło to wyznanie na przestrzeni wieków. Mając takiego brata jak Rzym, wobec jego dokonań (jak wielką moc sprawczą odegrał katolicyzm w odniesieniu do europejskiego malarstwa, rzeźby, architektury, filozofii, nauki, organizacji pracy itd., itd.) inne wyznania muszą wypaść znacznie bardziej. Pamiętając o działalności Cyryla i Metodego, kościoła prawosławnym w Armenii, Bułgarii — jeżeli już nie chce się myśleć o Rosji, w której aż po wiek XX utożsamiano je z czynnikiem utrwalającym zacofanie — czystej poezji jaskółczych gniazd Meteory, książkach Pawła Jasienicy, próbuje ocieplić tę niechęć, sprowadzić do rozmiarów zacietrzewienia. Przydaje się o tyle, że kontrolujemy — by użyć języka termojądrowców — wyrzut, nie dopuszczając do wybuchu. Jeszcze raz dały znać typowo polskie uprzedzenia, co nie dziwi, skoro na Wschodzie od trzystu lat nakręca się wciąż te same sprężyny. Zastanawia tylko opryskliwość, złośliwość u człowieka, którego dotąd znało się jako zwykle opanowanego i życzliwego.

Przed północą mój towarzysz rowerowej doły ucina drzemkę. Długo siedzę przy stole, nie chce się spać. Przychodzi pora na wyjazd: gwizdę krótko, mocno i z kamienną miną parzę wyzywająco.

— Gwizdałeś?

— A skądże!

### DZIEŃ VI

W klasztorze jesteśmy o pierwszej. Nad placem nadbużański, mleczny opar. Babuleńki okutane w grube chusty przycupnęły na ławkach, pod

drzewami. W budynku przy wjazdowej bramie dają gorącą herbatę, z rzadka snują się ludzie, pojedynczo i parami. Z soboru dochodzi głośny śpiew.

— Ruś! Prawdziwa Ruś! — słyszę skrawek rozmowy.

Moje odczucie dokładnie takie samo, interpretacja przeciwna: cieszę się, że tu jestem. Jestem gotów wszystko przyjąć, bogacie się tym, co przychodzi do mnie, nic mnie nie boli. Klasztor i ludzie, którzy zjechali modlić się, są dla mnie od siedmiu wieków częścią polskiej, nie rosyjskiej kultury. Nie przeszkadza mi, że mówią innym językiem, że prawosławny biskup przemyski głosi w sposób przesadny w kazaniu wielkość ukraińskiej kultury, że metafizyka tej nocy łączy się z klimatem osiemnasto- i dziewiętnastowiecznych obrazów rosyjskich mistrzów. W głębi duszy dziękuję jeszcze raz Jasienicy, który wybielił te wszystkie wściekle urazy i uprzedzenia do Rosji, przez które musi przebrnąć każdy rodzący się na tych ziemiach. Myślę o tepym odretwieniu „mędrców” którzy z dawnych, normalnych zasad koegzystencji różnych, ale bliskich sobie kultur i narodów, potrafili w ciągu czterdziestu lat zrobić egzotykę równą chińskiej, egzotykę, która trzeba odkrywać dwieście kilometrów od miejsca zamieszkania, jakby tych kilometrów było dwieście tysięcy.

Sobór otoczony szczelnym ludzkim wiankiem; na ławkach, schodach kobiety otulone w kocie. Przystają za tłumem, który zaczyna rytmicznie sylabizować pieśń, czując w niej odległe jądro melorecytacji. Skądś to znam — podobnie śpiewali, wybijając rytmicznie sylaby, wznawcy jednej z religii w Japonii.

Nabożeństwa są długie, trwają po trzy, cztery godziny od południa przez całą noc aż do południa następnego dnia. Czas między nimi wypełniają modlitwy i śpiewy. Barwności dodaje rozpisanie akcji na wiele miejsc — msze odprawia się w kilku kaplicach, traktując sobór jako punkt centralny, w którym nieustannie coś się dzieje. Polifoniczność zdaje się należeć do zasadniczych cech prawosławnych nabożeństw, może dlatego tak zaciekawiają i nie nużą mimo długiego trwania?

Po drugiej w nocy z soboru wychodzi procesja z biskupem na czele. Długi wąż ludzi z charakterystycznymi, cienkimi świecami wypelza powoli, przepływa przez jedną bramę, drugą i ginie w mroku, we mgłę. Przylatujemy się, zostawiając rowery pod opieką sprzedawców pamiętek. Droga rozjeżdżona, procesja zwija się, kluczy szukając suchych przesmyków, świece troskliwie osłaniane przed wiatrem liżą pełgotliwie ciemność.

Kaplica p.w. św. Ducha stoi na niewielkim kopcu. Szeroko otwarte wrota są rzęsiście oświetlone, od nich do łęgu zniżający się sznur czarnych sylwetek złocą jaskrawie promyki świateł. Osłonięci narzuconymi na plecy kocami okrążamy wzgórek, podpatrując przez otwarte okna niedostępne dla wiernych modły księży za ikonostasem. Marek usiłuje robić zdjęcia; w ciemnościach, bez statywu, którego nie mamy, to raczej niemożliwe. Przy-mocowuje aparat do drzewa.

Pierwsze budzą się zaby, wybuchając niespodziewanie rechotem, niepostrzeżenie czerń przechodzi w poświatę i kolej na ptaki. Zrazu pojedynczo, lekko, potem coraz śmielej, chórnie witają czerwoną lunę za Bugiem. Śpiew ludzki, często z wyszukaną ornamentyką, przedziwnie łagodnie łączy się z naturalnymi odgłosami wstającego dnia. Trzeba tu przyjechać, odzalać tę jedną noc, by uzmysłwić sobie, jak mocno można czuć życie i je kochać. Spory, zawiści, pół- i ćwierćinteligentki zakisy, zardzości o byle co, wymądrzania się, ulice wypchane sklepami, tabunami zaginionych ludzi — jakież to nierealne, nie z tego świata...

Jest piąta czy szósta, chcę wysłuchać mszy do końca, ale mój towarzysz namawia do powrotu. Niechętnie zgadzam się. Lawirując pomiędzy grupkami podążających w obie strony zostawiamy łęgi. W soborze, na stopniach centralnie usytuowanego podwyższenia, drzewiaki kobieciny nakryte ciepłymi chustami, posadzka zdeptana tysiącami stóp, ze wszystkich kątów czuć ludzkie zmęczenie.

Kilka godzin snu, śniadanie i, nie spiesząc się, pakujemy sakwy. Leje. Kiedy niebo przeciera się, ruszamy dalej, rezygnując z jeszcze jednego wypadu do Jablecznej, choć go zaplanowaliśmy. Jednak we dwóch!

Do Kodnia, przez dwadzieścia kilometrów słyszę cerkiewne chóry. Czasami złudzenie jest tak silne, że odwracam głowę chcąc przekonać się, czy rzeczywiście nie dochodzi skądś śpiew. Miasteczko wita nas samotną dzwonnica z czerwonej cegły. Rozrzucone, byle jak zbudowane, rozbija wyobrażenia skupione, małego osiedla. W renesansowym kościele św. Anny trwa msza. Nie chcemy przeskadać, więc tym samym nie zobaczymy wykradzonej z Watykanu przez Mikołaja Sapiechę Madonny de Guadelupa — obraz zostanie przestąpięty. Świątynia w stylu renesansu lubelskiego posiada sztukaterie tak bogate, że wydają się za obfite. Jakby muratorzy przekroczyli granicę dobrego smaku... Wrażenie potęgują kaplice boczne przytłaczające bryłami rzeźb w ołtarzach — czuje się nadchodzący, ekspansywny barok. Mimo woli czynimy porównania — nie pierwszy raz podczas podróży — z zamojską kolegiatą, która okazuje się budowlą wyjątkowo harmonijną, wysmakowaną w najdrobniejszych detalu. Chciałoby się powiedzieć: jest jak dobry wiersz, do którego dodanie lub odjęcie jednego wyrazu powoduje katastrofę. Przez pewien czas kościół spełniał funkcję cerkwi, Madonna zapakowana wraz z całym ołtarzem do skrzyń musiała szukać schronienia na tułaczce.

Cerkiew zamkowa, bardziej gotycka niż renesansowa jest szeroko otwarta dla zwiedzających, ale całkowicie pusta. Jej jedyną ozdobą pozostały barwne, płasko rzeźbione kafle w zachodnim szczytce, wyposażenie wnętrza znikło. Wysoko podniesione fundamenty stojącego niegdyś obok zamku Sapiehów odpychają bryłę bunkra. Obok nich, w alei starodrzewu zwalono w nieładzie dziesiątki drewnianych rzeźb, których postacie świętych mieszają się z partyzantami. Szperając po parku natrafiam na szarosińską połowę cegły z charakterystycznymi rysami po palcach, podobną do tej z Uchań. Dalej nie wiemy, czy stanowiła część fryzu, czy też była zwyczajnym budulcem? Z sadów otaczających zamkowe wzgórze dobiega jazgot telewizora; właśnie rozgrywany jest finałowy mecz mistrzostw Europy. Kto z kim gra? Raz i drugi podnosi się wrzask, strzelano gole. Ciekawość nie jest zbyt mocna, po odpoczynku wyjeżdżamy bez żalu, nie pytając nikogo o wynik.

(Koniec odc. 4. — cdn.)



# JEST JESZCZE TAKI KRAJ...

**P**ATRZĄC na te fotografie, chciałoby się zrazu powiedzieć, że to nieprawda: takiego kraju nie ma. Ale on jeszcze jest, istnieje; to mały zakątek Podlasia nadbużańskiego. Trafić tam nietrudno. Z szosy Lublin — Białystok należy zjechać w prawo tam, gdzie Bug przestaje być rzeką graniczną i skręca ku Mazowszu. I jest się na miejscu, gdzie wiatraki miały mąkę, gdzie są domy pokryte strzechą, a powietrze jest tak czyste, że nawet jadąc samochodem, czuje się zapach żywicy i ziół.

Tutaj wszystko jest na swoim miejscu i w odpowiedniej proporcji. Równina gładka, ale lekko falująca, rzeki ciemne i leniwe, ale zarazem szybkie, głębokie i zdradliwe. Taki jest właśnie Bug: każdego roku inny, a potrafi także zmienić się z dnia na dzień. Ten Bug, truty niemiłosiernie przez kilkanaście miast polskich i radzieckich — żyje jeszcze. Można tu się kąpać, rybaczyć i chociaż nie pływają tu już wielkie jesiotry, jak przed laty, to można złowić wąsatego suma i sandacza.

Ech, co tu gadać! Podlasie jest piękne.

Ale to powiedziane za mało, za banalnie. Mnie — kiedy tu jestem — przypominają się zawsze kresy, bezkresna Ukraina, gdzie hen, jak okiem sięgnąć, daleka pustka, cisza i zaśpiew wiatru. Tutaj można iść kilometrami i nie spotkać człowieka, a kiedy go spotkasz, to cieszysz się i zagadujesz. Wynika to z ciebie jakoś naturalnie, odruchowo. A to znaczy, że czujesz się tutaj dobrze, u siebie, że pozbyłeś się sztafażu wielkiego miasta, gdzie drugi człowiek zabiera ci przestrzeń i powietrze, jest wcześniej od ciebie w kolejce i kupił lepszy kawałek kaszanki.

Tutaj nikt ci niczego nie zabiera, tutaj wszystko jest twoje i dużo tego, nie zdołasz objąć ani się nasycić. Pewnie dlatego ludzie tu wciąż gościnni i uprzejmi dla przybysza.

Popatrzmy na te chatynki, nieśmiało wychylające swoje dachy zza pagórkę pełnego kwiecia. One też są „u siebie”, jakby wrosły w tę ziemię albo z ziemi wyrosły. Podlasie nie zostało jeszcze zniszczone przez beton i dymiące kominy. Jest świeże i nostalgiczne, gdyż przywołuje świat, którego nie ma gdzie indziej.

Tekst:  
Andrzej W. Pawluczuk

Zdjęcia:  
Waldemar Stępień





WYJAŚNIENIA, które do tej pory składała przed sądem Alina Ł. pokrywały się z jej zeznaniami składanymi podczas śledztwa. Teraz oskarżona oświadcza:

— Jeśli chodzi o moje wyjaśnienia złożone w śledztwie, to aresztowanie mnie, przeżycia związane z tym faktem oraz sposób prowadzenia śledztwa były tego rodzaju, że nie sposób było mówić normalnie, zebrać myśli i rzeczowo udzielać odpowiedzi. Twierdząc, że w okresie śledztwa mówiłam wszystko co mi sugerowano, co mi podpowiadano. Dzisiaj staram się mówić bez emocji, w sposób wyważony i to, co wydaje mi się prawdziwe.

Nie wiem skąd się wzięło w akcie oskarżenia, strona 36, że przekazałam delegacji kubańskiej 16 butelek wódki i 16 butelek na przyjęcie związane ze zjazdem księgowych. Nie uczestniczyłam w zjeździe księgowych i niczego nie przygotowywałam.

Nie przyznaję się do zarzutu tolerowania pobierania alkoholu przez inne osoby i spowodowanie utworzenia zapasu alkoholu oraz podpisywania sprawozdań z produkcji zawierających nieprawdziwe dane. Ilekroć prosiłam Kazimierę W. i Włodzimierza T. o dostarczenie mi alkoholu, było to zawsze z wyprzedzeniem kilkudniowym. Nie wiedziałam, że alkohol ten jest przez kogokolwiek przechowywany czy magazynowany. O tym, że były gromadzone poza ewidencją, pewne ilości alkoholu, dowiedziałam się dopiero po aresztowaniu T., kiedy była zrobiona inwentaryzacja.

Nieprawdą jest, abym podpisywała roczne, półroczne i kwartalne sprawozdania z produkcji zawierające nieprawdziwe dane. To, co podałam w swoich wyjaśnieniach o przekazywaniu pewnej ilości alkoholu, nie miało żadnego wpływu na prawdziwość czy nieprawdziwość sprawozdań, bo proces technologiczny przewiduje ubytki naturalne, a ponieważ alkohol przekazywałam od 1982 do 1987 roku, więc ta ilość nie zaważyła na prawdziwości sprawozdań. Szczęściu pracowników

Izby Skarbowej stale urzędowało na terenie „Polmosu”. Pracownicy ci byli obecni każdego dnia i przy każdej czynności przekazywania i przyjmowania spirytusu z magazynu na ratyfikację i odwrotnie, jak również kontrolowali na bieżąco rozliczenie przyjętego przez rozlewnię spirytusu do rozlewni wódek. Nalożone były zabez-

udziałem przedstawiciela Izby Skarbowej Jana B. Jeszcze raz chcę podkreślić, że wszystkie operacje przemieszczania spirytusu odbywały się z udziałem przedstawiciela Izby Skarbowej i Jan B. o takich nieprawidłowościach nie zgłaszał.

Jest godzina 13. Przewodnicząca zespołu orzekającego zarządza przerwę

Nie przyznaję się, abym wzięła dla siebie lub kogokolwiek wykładzinę podłogową, materiał zasłonowy i firanki o wartości 6864 zł. Nie wiem dlaczego Zbigniew T. pomawia mnie o takie rzeczy.

Nie przyznaję się do tego, abym w grudniu 1982 roku dała 2 butelki wód-

## „POLMOS” PRZED SĄDEM (8)

### Izabella Wlazłowska

pieczenia w postaci plomb Izby Skarbowej na wszystkich miejscach, z których można było czerpać alkohol.

Nie przyznaję się do tego, abym w dowodnia zwolnienia od kontroli osobistej osób wychodzących z biura z alkoholem. Nigdy nie wydałam polecenia rewidentom zakładowym, aby danej osoby nie kontrolowano. Zdarzało się, że z kimś z zaproszonych gości, względnie zwiedzających zakład, kurtuazyjnie wychodziłam do bramy, ale nie miało to wpływu na to, czy byli oni kontrolowani.

Nie przyznaję się do zarzutu godzenia się na wystawienie przez Włodzimierza T. fikcyjnego dowodu przyjęcia do zestawienia 8664 litrów spirytusu. T. działał w porozumieniu i na polecenie przedstawiciela Izby Skarbowej — Jana B., nie uzgadniając i nie informując dyrekcji o tym, że przekazał jakiejś ilości spirytusu z zestawienia do magazynu, nie wystawiając na to dokumentów. Po dwóch dniach okazało się, że dokument na to jest wystawiony. Spirytus znajdujący się w magazynie jest zinwentaryzowany z

w rozprawie do 1 czerwca do godziny 9 rano.

— Nie powiedziałam do protokołu tak, jak zarzuca mi to akt oskarżenia — stwierdza Alina Ł., kiedy rano sąd wznowił przerwana wczoraj rozprawę. — Funkcjonariusz, który przesłuchiwał mnie w Komendzie Głównej MO powiedział mi, że wszelka zmiana moich wyjaśnień będzie uważana za matactwo. Ja byłam tak przestraszona, że z chwilą, gdy przesłuchiwał mnie obecny na sali prokurator, nie zmieniłam swoich wyjaśnień. Mówiąc, że byłam szkanowana mam wyłącznie na myśli funkcjonariuszy MO w Komendzie Głównej. Poza tym atmosfera jaka panuje w areszcie śledczym przy ul. Rakowieckiej jest przerażająca.

Nie przyznaję się do zarzutu XI spożywania napojów alkoholowych na terenie zakładu. Na terenie zakładu alkoholu nie piłam i nie tolerowałam picia alkoholu u innych pracowników. Zaprzeczam, abym zagarnęła dla siebie na szkodę zakładu alkohol wartości 300 190 zł. Dla siebie nic nie wzięłam.

ki i 1 butelkę spirytusu przesowi Spółdzielni „Czechów” w związku z zamianą mieszkania.

W tym miejscu sąd okazał oskarżonej jej oświadczenie, w którym wymienione jest nazwisko prezesa i ilość alkoholu, którą mu przekazała.

— Takie oświadczenie pisałam pod dyktando i tego nie potwierdzam. Mówię o przesłuchującym mnie płk. F. Wcześniej przesłuchiwał mnie płk W. Przesłuchiwali mnie bez sporządzenia protokołu. Nazywano to „rozmowami pouczającymi”.

Nie przyznaję się, abym wręczała kierownikowi działu artykułów spożywczych WZGS „Sch” 3 butelki alkoholu. Oświadczenie, które mi sąd okazuje, pisałam w takich okolicznościach jak podałam wyżej.

Nie potwierdzam zarzutu, że dyrektorowi banku SA dałam 6 butelek wódek. Nie potwierdzam odczytanego mi przez sąd oświadczenia. Napisałam je, bo taka była sugestia przesłuchującego. Ja byłam wykończona rozmowami jakie miały miejsce w śledztwie, pobytem w celi i dlatego też go-

# LUBLIN - NARODZINY TERRORU

Dokończenie ze str. 1

## Rozpoznanie wroga

podoficerów i żołnierzy AK aresztowana w nocy z 24 na 25 listopada 1944 r. przy obronie radiostacji we wsi Zakole k. Mińska Mazowieckiego. Dowiedziona do aresztu NKWD/UB w pobliskim Mińsku, nie została tam przyjęta z powodu braku miejsca i noca, bez wcześniejszego kontaktu z lubelskim więzieniem, przewieziono ich na Zamek, który przyjmował wszystkich, nie oglądając się na warunki.

W okresie od ofensywy letniej 1944 roku do styczniowej 1945 r. na Zamku kierowano też zasadzonych na długoletnie więzienie przez sądy wojskowe I i II Armii WP oficerów, podoficerów i żołnierzy (kary śmierci wykonywano w miejscu postoju sądów obydwu armii). Więźniowie ci przebywali na Zamku do późnej wiosny 1945 r., kiedy to odeszli z Zamku pierwsze transporty do Wronek, a później również do innych więzień.

W początkowym okresie dość znaczną grupę więźniów stanowili Niemcy uznani za przestępców wojennych. Byli to przeważnie osobnicy z personelu obozów zagłady i inni, których nie zaliczono do jeńców wojennych. Przebywała też w tym czasie na Zamku znaczna grupa volksdeutschów oraz Polaków nazywanych szmalcownikami, oskarżanych o przestępstwa popełnione w okresie okupacji w stosunku do Żydów.

W artykule niniejszym pomijam te ostatnie grupy oraz innych więźniów kryminalnych przebywających na Zamku w omawianym okresie. Ograniczam się jedynie do omówienia przyszłych więźniów politycznych.

czyli przyszłych politycznych podopiecznych ppor. A. Stolarza — pierwszego naczelnika więzienia na Zamku — prowadzone było intensywnie co najmniej na pół roku przed wejściem na Lubelszczyznę Armii Czerwonej. Radzieckie zgrupowania i oddziały partyzanckie dokonujące licznych „rajdów” na terenach leżących „w zakie-rzońskim kraju”, czyli na zachód od Bugu, za jedno z istotnych zadań miały rozpoznanie polskiego podziemia związanego z legalnym londyńskim rządem RP.

Dowódcy zgrupowań i oddziałów radzieckiej partyzantki, przebywający na Lubelszczyźnie pod koniec 1943 i w pierwszej połowie 1944 roku, starali się wszelkimi dostępnymi środkami nawiązywać kontakty z dowódcami obwodów, rejonów, placówek i oddziałów AK na terenach swych przemarszów i działań. Robiono to pod pozorem potrzeby pomocy w rozeznaniu terenu (przewodnicy), pomocy transportowej, żywnościowej i sanitarnej. Małe oddziały radzieckie nawiązywały kontakty z dowódcami oddziałów AK-owskich i BCh-owskich, szukały kontaktów z dowódcami rejonów AK w celu „zameldowania gospodarzom terenu o swojej obecności na ich terytorium”. Wielu oficerom AK imponowało to uznawanie ich za „gospodarzy terenu” i sprzyjało im nieopatrznie takim kontaktom.

Dowódcy, oficerowie wywiadu i komisarzy polityczni radzieckich oddziałów sporządzali dla kontrwywiadu wojskowego (SMIERSZ) i NKWD dokładne notatki o spotykanych dowódcach oddziałów, placówek i rejonów AK i BCh. Informacje zawierały m.in. opis wyglądu i postawy politycznej rozmówców, np. dowódca oddziału partyzanckiego, ppor. rez. Wojciech Rokicki - „Nerwa” był tak charakte-

ryzowany po spotkaniu w dniu 28 maja 1944 r. w notatkach jednego z dowódców radzieckich oddziałów partyzanckich:

„Por. »Nerwa« — zdecydowanie uprzedzony do nas i nieopanowany. Nie ulegało wątpliwości, że światopogląd porucznika pokrywał się w zupełności z poglądami »Szańca«. Jego ponure spojrzenie zatrzymywało się często to na jednym, to na drugim naszym radiotelegrafistcie (demaskowały ich przewieszone przez ramię polowe radiostacje w metalowych skrzynkach) i nie wróżyło nic dobrego. Ale za radiotelegrafistami jak cień chodzili fizylierzy z plutonu ochrony. Nie sposób nie wiązać z osobą por. »Nerwy« faktu zniknięcia w tym dniu ze wsi żołnierza naszego oddziału, Abdula Szeripowa”.

Oczywiście ocena taka w teście NKWD równała się wyrokowi śmierci po lipcu 1944 r., szczęściem wyżej opisany nie trafił w „opiekuncze” ręce.

Ten sam dowódca radziecki w tym samym dniu zanotował znacznie lepsze zdanie o mjr. »Jarze« — Stanisławie Piotrowskim:

„Dowódca obwodu lubelskiego AK mjr »Jar« — mężczyzna w średnim wieku, elegancki, a nawet wymuska-ny, zachowujący się powściągliwie, robił w zasadzie dobre wrażenie”.

Małe grupki obywateli Kraju Rad, opuszczających — wobec zbliżania się frontu — służbę u Niemców, trafiały do oddziałów partyzanckich AK (np. 11 z ochrony lubelskiego elewatora zbożowego przeszło do oddziału „Szarygi” — ppor. rez. Aleksandra Sarkisowa) i były tam na ogół serdecznie przyjmowane. Trudno było działać w tajemnicy przed nimi, poznawali więc ludzi z własnego i innych oddziałów, a także goszczących ich na kwatery gospodarzy i pomagających im właścicieli (administratorów) majątków ziemskich.

Niektórzy zgłaszający się do służby w oddziałach AK byli wcześniej funkcjonariuszami NKWD i nie ukrywali tego. Mieli wyrobione nawyki śledzenia i znali jego metody. Działali więc w oddziałach AK w końcowych miesiącach okupacji niemieckiej z pełną świadomością swej roli i zamiarem sprzedania w niedalekiej przyszłości zebranych informacji.

Podobną działalność rozpoznawczą w polskim podziemiu, podległym rządowi RP w Londynie, prowadziły również polskie oddziały partyzanckie podległe Sztabowi Polskich Partyzantów w ZSRR (Zgrupowanie „Jeszcze Polska nie zginęła”, Brygada mjr. Klima i inne), a lokalnie także oddziały AL, które stały się po wejściu Armii Czerwonej kadrowym zawiązkiem MO i UB na terenie „Polski Lubelskiej”.

Jednym z ważnych zadań, stawianych wiosną 1944 r. przed dowódcami i oficerami politycznymi jednostek AL i podległych SzPP, było oderwanie obietnicami otrzymania broni, umundurowania i awansów jednostek BCh lub AK i przeciągnięcie ich do AL. Nieliczne oddziały zrobiły to w sposób jawny, natomiast kilkunastu dowódców różnych szczebli podporządkowało się AL bez ujawniania tego faktu, a po lipcu 1944 r. stali się oni niezwykle aktywnymi oficerami UB i MO. Mając doskonale rozeznanie w szeregach AK i BCh na swoim terenie, przyczynili się do aresztowania jesienią 1944 r. znacznej liczby oficerów i żołnierzy AK, którzy zapełnili późną jesienią 1944 r. lubelski Zamek.

Penetracja wywiadowcza w szeregi prolondyńskiego podziemia antyhitlerowskiego na Lubelszczyźnie sięgnęła więc dość głęboko w dół i stosunkowo wysoko. Nie mogło zatem być dla nikogo zaskoczeniem prawie bezbłędne działanie NKWD/UB po wejściu Armii Czerwonej i rozpracowanie, a następnie rozłożenie w krótkim czasie konspiracji AK-owskiej i poakowskiej w okręgu.

## Aresztowania

przyszłych więźniów Zamku i zesłańców do ZSRR dokonywane były w latach 1944—1945 przez różne organa „porządkowe”, działające w tym



towa bylam powiedziec wszystko, co moglam zmiescic w ramach rozsądku i prawdopodobienstwa i zakonczyc sprawe. W czasie sledztwa bylam caly czas pod psychicznym terorem ze strony przesluchujacych mnie osob, jak i osob, z ktorymi bylam w celi. Plk F. mowil mi, ze corka wyprowadzila sie z domu i ze moim losem wcale sie nie interesuje, a moja matka, lat 84, jest czysto chora, a ja swoim uporem utrudniam sledztwo.

I od tej pory przy kazdym prawie zarzucie postawionym Alinie Ł. w akcie oskarzenia, sad musi odczytywac podpisane przez nia w sledztwie oswiadczenia i fragmenty protokolow z przesluchań. Większości z nich Alina Ł. nie potwierdza. Do niektórych zarzutów przyznaje się jedynie częściowo.

O godzinie 14 przewodnicząca zarządza przerwę w rozprawie i wyznacza następny termin na dzień 13, 14 i 15 czerwca.

Tym razem przyczyny obiektywne uniemożliwiają kontynuowanie rozprawy. Najpierw nie zjawia się ławnik, bowiem zapomniał o wyznaczonym na dzień 13 czerwca rozprawie. Następnie w hotelu „Rzeszów”, w którym mieszkają w czasie rozprawy oskarżeni rozpoczęła się dezynsekcja i zostali oni wykwaterowani.

Kolejne terminy rozpraw wyznaczone zostają na 21, 22 i 23 czerwca.

21 czerwca w sądzie zjawiają się wszyscy oskarżeni i ich pełnomocnicy. Niestety, Alina Ł. oświadcza, że nie jest w stanie składać dalszych wyjaśnień ponieważ ma bóle w okolicy mostka oraz silny ból głowy. Do sądu wezwane zostaje pogotowie ratunkowe. Po przebadaniu Alina Ł. zawieszona zostaje do szpitala celem wykonania EKG. Podejrzanie poważnej choroby kwalifikuje Alinę Ł. do położenia się w lubelskim szpitalu.

Kiedy zostanie wyznaczona kolejna rozprawa? Tego nikt nie wie. Trzeba poczekać na orzeczenie lekarskie.

## LISTY - POLEMIKI

### „LUBELSKA »BIAŁA PLAMA«

Szanowny Utrwalaczu!

Brak nazwiska i adresu pod listem („Relacje” nr 14, s. 13) zmusza mnie do takiego nazewnictwa.

Może nie jest prawdą, „że sadzano walecznego akowca na rozpaloną do czerwoności blachę gołym tyłkiem”, prawda jest natomiast to, że kilkanaście lat temu w Puławach wybudowano nowy RUSW przy ulicy Wojska Polskiego. Stary budynek przekazano Wojskowej Komendzie Uzupelnień. Przed zasiedleniem tego budynku wykonywany był remont przez KPRB w Puławach. Podczas wykonywania wykopów pod przyłęczą wod.-kan. znaleziono ludzkie szkielety. Jako urodzony w tym mieście zapewniam pana, że nie pochodzą one z okresu międzywojennego ani też okupacji hitlerowskiej. Jeżeli chce pan dochodzić prawd historycznych, to znane mi jest jeszcze jedno miejsce w Puławach, gdzie nocami grzebano po 1944 roku ludzkie zwłoki.

Refleksja końcowa: narodowy socjalizm tym się różni od realnego, że ten pierwszy miał swoją Norymbergę, a pozostali zwyrodnialcy są ścigani i sądzeni do dnia dzisiejszego. U nas gen. dyw. Radkiewiczowi urządziła się na Powązkach pogrzeb z fajerwerkami. Można i tak.

Radomir Podurgiel  
Puławy

### „WYPROWADZKA”

Już po raz drugi biorę pióro do ręki, by do was napisać, pierwszego listu nie wysłałam, bo po prostu się wstydyłam, [...] ale po przeczytaniu oświadczenia „Solidarności” w nr 23 i tekstu „Wyprowadzka” w nr 24 — zdobyłam się na odwagę.

Czytam wasz tygodnik, o ile mam możliwość zakupu. Od dłuższego czasu na łamach prasy toczy się batalia o zburzenie pomnika Bieruta w Lublinie. Czytam różne wypowiedzi za i przeciw, więc i ja swoje osobiste poglądy mam. My, Polacy, lubimy wpadać z jednej skrajności w drugą i teraz na gruzach jednego pomnika będziemy budować drugi. I zadaję sobie pytanie, czy od obalenia pomnika, zmiany nazw ulicy, placu, fabryki dużo w Lublinie przybędzie dóbr materialnych ludziom mieszkającym w tym mieście. Ciekawam bardzo, na ile procent wzrosła praca w fabryce wraz ze zmianą nazwy, czy po zmianie nazwy ulicy będą po niej chodzili sami idealisci i anioły?

Trzeba się dobrze zastanowić, co robimy, wpadliśmy w szal nienawiści, która sięga zenitu. Chcą niektórzy (bo na pewno nie wszyscy) zniszczyć pamięć o człowieku, który był Polakiem i lublinianinem. Czy mamy się tego wstydyć? Moim zdaniem — nie. Bierut urodził się w Lublinie; że żył w takich czasach, jakie były, to nie jego wina, każdy z nas daty urodzenia nie wybiera. Bierut żył w bardzo trudnych czasach, wiele w swoim życiu poświęcił dla „ludzi pracy” (ale ci tylko o tym wiedzą, co żyli w tych czasach; niestety, tych jest coraz mniej).

Nie bronię go za zbrodnie popełnione za jego władzy, tylko zadaję pytanie, czy o każdej zbrodni wiedział, czy zbrodnie na nas, Polakach, nie były dokonywane poza „Władzą Polską”?

okresie. Komendy AK wyższego szczebla (okręgi, inspektoraty, obwody) oraz Delegatury Rządu (wojewódzkie, powiatowe) w większości przypadków rozpracowywane były przez SMERSZ — kontrwywiad Czerwonej Armii oraz przez jednostki NKWD — ministerstwa spraw wewnętrznych ZSRR. Tymi ostatnimi kierował w latach 1944—1945 z-ca Ł. Berii do spraw Polski — gen. Sierow, używający również — dla zmylenia przeciwnika — nazwiska Iwanow. W okresie „Polski Lubelskiej” mieszkał on w Lublinie przy ul. Chopina 18, w głównym budynku NKWD, lub może w jednym z sąsiednich domów. Drobniejsi „przestępcy polityczni” rozpracowywani byli przez jednostki (urzędy) resortu Bezpieczeństwa Publicznego (powszechnie używano wówczas nazwy „resort” jedynie w odniesieniu do tego właśnie „ministerstwa” PKWN) oraz przez organa Milicji Obywatelskiej. W jednym i drugim przypadku odbywało się to przy ścisłym współdziałaniu lub pod kierownictwem NKWD.

Aresztowano wszędzie: w miejscach pracy, w urzędach, w mieszkaniach, na ulicy, w czasie wesel i zabaw, przy wychodzeniu z kościołów i nawet na specjalnie zwołanych zebraniach, z których „zgarbiano” wszystkich uczestników. Wspólną cechą indywidualnych aresztowań było przeprowadzanie ich bez rozgłosu, „po cichu”, by wiedziało o tym jak najmniej ludzi. Z miejsca pracy zabierano na ogół tylko w tych przypadkach, kiedy obawiano się nagłego ostrzeżenia i ucieczki przyszłego aresztanta. W przypadkach „spokojniejszych” zabierano ludzi z domów. Bywały przypadki, że aresztujący przychodzili do mieszkania na kilkanaście minut przed zwykłą porą powrotu z pracy przyszłego więźnia, czekali na niego i aresztowali w momencie wejścia. Niekiedy do osoby przewidzianej do aresztowania przychodził „kolega” z konspiracji, już zwerbowany do współpracy przez NKWD lub UB, za rogiem ulicy czekano z samochodem i jeżeli przez ustalony czas „kolega” nie wychodził z mieszkania, co znaczyło, że poszukiwany jest u siebie, wkraczali umundurowani lub cywilni funkcjonariusze i dokonywali aresztowania.

Do ujawnionych i zarejestrowanych już w RKU (Rejonowa Komenda Uzupelnień) oficerów i podoficerów re-

zerwy przewidzianych do aresztowania przychodził, najczęściej młody, żołnierz z wezwaniem do RKU „w celu uzupełnienia ewidencji”. Wyjście z tym żołnierzem bywało niekiedy ostatnim w życiu wyjściem z własnego mieszkania.

Po lekarzy — oficerów AK przychodzono w nocy, wzywając ich przez drzwi rzekomo do udzielenia pomocy komuś, kto nagle zachorował. Po otwarciu mieszkania lekarz zostawał aresztowany.

Jesienią 1944 roku powszechnie stosowaną metodą aresztowania AK-owców, głównie byłych żołnierzy oddziałów partyzanckich z lubelskiego inspektoratu AK, były „polowania” na ulicach Lublina. Na łowy wychodził znający tych ludzi radziecki „towarzysz broni” z oddziału lub Polak, niegdyś „oddany sprawie żołnierz podziemia”, który wiosną 1944 roku zdezerterował z AK i wkraczał do Lublina jako adiutant Korczyńskiego, co uwieczniła na filmie „Czołwka”. W pewnej odległości za „łowczym” szli dwaj lub trzej umundurowani funkcjonariusze NKWD, UB lub MO i w przypadku, kiedy „łowca” zatrzymywał się i rozmawiał z ofiarą, podchodzili i dokonywali aresztowania. Niekiedy aresztowania na ulicy następowały również w wyniku przypadkowego legitymowania i uznania danej osoby za podejrzaną.

W przypadku „oficjalnego” aresztowania w mieszkaniu przeprowadzano zaraz rewizję. Jeżeli pozorowano wyjście do RKU czy na jakies inne wezwanie, rewizję przeprowadzano zwykle w 2—3 godziny po uprowadzeniu. W czasie rewizji szukano przede wszystkim broni, radioodbiorników, dokumentów i fotografii. Zdjęcia fotograficzne stanowiły cenny materiał rozszerzający krąg przyszłych więźniów. Bardzo często w czasie rewizji „ginęły” różne cenne drobne przedmioty, biżuteria itp.

Zainteresowanie organów NKWD i UB danym człowiekiem i jego mieszkaniem bardzo często nie kończyło się na aresztowaniu i rewizji. W mieszkaniach, które były uważane za miejsca kontaktowe AK, zakładano — po aresztowaniu i rewizji — tzw. „kotły”, tj. lokowano w mieszkaniu grupę funkcjonariuszy, którzy zatrzymywali i rewidowali każdą wchodzącą do mieszkania osobę. „Kotły” takie trwały

niekiedy kilka dni, a w ich rezultacie zatrzymywano kilkanaście lub nawet kilkadziesiąt osób. W początkowym stadium „kotła” wszystkich zatrzymanych gromadzono w mieszkaniu i żywiono zapasami, jakie znaleziono u gospodarzy mieszkania. W razie dłuższego trwania „kotła” żywność dowoziła ekipa organizująca „kocioł”. Niejednokrotnie w trakcie „kotła”, w razie dużej liczby zatrzymanych, wprowadzano ich partiami w różnym czasie.

Zbiorowe aresztowania przeprowadzano także kilkoma innymi metodami. Trudne, ale dające najlepsze wyniki, było zorganizowanie zasadzki. Przykładem może być wpadka kilku-nastu oficerów komendy okręgu i lubelskiego inspektoratu AK, których zwołała „na odprawę” łączniczka komendy, zwerbowana wcześniej do współpracy z nową władzą.

Częstym miejscem zbiorowych aresztowań były liczne po lipcu 1944 r. wesela. Zenili się b. żołnierze z oddziałów partyzanckich AK z poznanymi dziewczynkami z placówek, wychodziły za mąż siostry zaangażowanych w konspiracji młodych ludzi, niejednokrotnie same będąc łączniczkami czy sanitariuszkami. Każda taka uroczystość była okazją do spotkania byłych konspiratorów, ale również doskonałą okazją do ich aresztowania, szczególnie po większej weselnej wódcie.

W późniejszym okresie (1946—1947) urządzane nocami pogrzeby poległych w walkach żołnierzy zbrojnego podziemia również ułatwiali UB, jeżeli nie bezpośrednie aresztowania, to przynajmniej rozeznanie dla późniejszych akcji.

W niektórych podlubelskich wioskach (np. na terenie gminy Milejów) jesienią 1944 r. polecono sołtysom zwołać zebrania ludzi działających za okupacji w BCH i AK, w celu spotkania się z przedstawicielami RKU i dokonania wpisu wojennej służby do dokumentów wojskowych. Lokale z zebranymi zostawały otoczone przez funkcjonariuszy NKWD, UB i MO, a uczestnicy zbiorowo trafiali na punkty zbornie do wysyłki na roboty w łagrach ZSRR, a niektórzy na Zamek.

W innych miejscowościach (np. w Urzędowie k. Krańnika) łapanka od-

Czy ci, co stoją u „szczytu”, wszystko wiedzą? Gdyby wiedział Jaruzelski, nie byłby zamordowany ks. Popietuszek. Zresztą pokażcie mi nie tylko w Polsce, ale na świecie, który „system” nie ma na swoim koncie ofiar. Każda władza ma swoich przeciwników, których w jakiś sposób pragnie się pozbyć i nie zawsze w humanitarnej. Czy po śmierci Bieruta nie było ofiar? Kto za to odpowie?

My, Polacy, po drugiej wojnie światowej byliśmy prawie że zmuszeni wiele rzeczy wybaczyć, bo tego wymagała „racja stanu”. Obecny wybaczyliśmy większość ofiar, bo nie mamy do nich takiego prawa jak do swojego Bieruta; no gdyby żył, skazaliby go na banicję. Ale życia już nie ma, które w całości poświęcił dla ludzi pracy, dla Polski i Polaków. I żeby nie wiem, jak kto chciał, historia mu tytułu pierwszego „Prezydenta Rzeczypospolitej” nie odbierze, co prawda Ludowej, ale nie republiki, a w tym było trochę i Bieruta zastugi.

Jedni zdjęli z głowy Orła koronę, drudzy burzą pomniki, choć to jest w cywilizowanym świecie barbarzyństwo. Pomniki to nasza historia, raz lepsza, raz gorsza, ale trzeba ją szanować, bo gdy będzie prawdziwa, uszanują ją przyszłe pokolenia.

Przeżyłam dużo i widziałam wiele, wiem, że moje słowa nic nie zmieniają, ale wiem, że ludzie myślą różnymi kategoriami, lecz rządzą ci, co do władzy się dopchali. Panie! przedwojenny Lublin, jak robotnicy koło Ratusza wolali „chleba i pracy”. Może wśród tej masy był i Bierut, a podczas kolektywizacji bronila się słowami Bieruta: „Nie budujemy spółdzielni produkcyjnych na gruzach chłopskich gospodarstw” — wypowiedzianymi przez niego na jednym z plenum. [...]

Pozostaję z szacunkiem, życząc zawsze udanych artykułów.

Maria Skiba  
Swidnik Duży

bywała się wczesnym rankiem wrześniowego dnia, kiedy większość młodych ludzi była w domach. Łapankę prowadzili funkcjonariusze NKWD, a w jej wyniku kilkudziesięciu żołnierzy AK trafiło przez areszt w Krańniku do Lublina. Los ich był identyczny jak wielu innych: zsyłka do ZSRR lub więzienia w „wyzwolonej Polsce Lubelskiej”.

Akcje zbiorowych aresztowań przeprowadzane były z doskonałym rezultatem. W większości przypadków enkawudziści mieli listy zawierające nazwiska, imiona i „otczestwo” przewidzianych do aresztowania. Zwerbowanie wśród miejscowej ludności licznych sprzedawców i przygotowanie takiej dokumentacji, głównie na podstawie ich denuncjacji i oskarżeń, wymagało — mimo doskonałej znajomości rzemiosła i dużej operatywności NKWD — sporej ilości czasu. Dlatego też zbiorowe aresztowania i wywózki następowały zwykle w okresie półtora do trzech miesięcy po wkroczeniu Armii Czerwonej, z NKWD-owskim zapleczem, na dany teren. Tereny Polski, zajęte w czasie letniej ofensywy 1944 r., dotknięte zostały masową eksterminacją ludności w okresie wrzesień — listopad 1944 r., natomiast województwa za Wisłą i Wiską „wyzwolone” w styczniu — lutym 1945 r., akcja ta dotknęła w okresie marzec — maj 1945 r.

Przeprowadzenie przez NKWD/UB takiej akcji, obejmującej dziesiątki tysięcy ludzi, nie byłoby możliwe bez aktywnej pomocy części społeczeństwa polskiego, która zaangażowana została przez nową władzę do śledzenia i donoszenia na sąsiadów, a niekiedy nawet kolegów i towarzyszy walki z okresu okupacji niemieckiej.

Aresztowani — później „pensjonariusze” Zamku — bardzo rzadko trafiali tam bezpośrednio. Najczęściej fazą wstępną był kilkudniowy, a niekiedy nawet kilkumiesięczny pobyt w różnych placach NKWD, UB i MO na terenie Lublina. Dopiero po wstępnej, tam przeprowadzonej fazie śledztwa przekazywano ich na dalsze „intensywniejsze” dochodzenie na Zamek.

(Dokończenie nastąpi)

Zbigniew Muszyński











## ROMA LOCUTA

Dokończenie ze str. 13

W artykule pojawiają się nawoływania o zdrowy rozsądek. Nie ma tego rozsądku ani autor artykułu, ani autorzy projektu. Bo czym jest ten zdrowy rozsądek? Zasadą rygorystycznego przestrzegania norm moralnych? Czy zwykłym praktycyzmem? Praktycyzmem nakazującym szukanie najprostszycy rozwiązań? Jeśli tak, to gdy w rodzinie, gdzie jest już troje dzieci, a mąż pijak nie daje na dom, pojawi się czwarta ciąża, wtedy niestety, zdrowy rozsądek podsunie jedno tylko rozwiązanie. W życiu jest na ogół tak, że moralność i etyka przegrywają z szarą prozą życia codziennego.

Już czuję satysfakcję moich ewentualnych adwersarzy. „Moralność spartańska”. No tak, ujawniłem całą swoją „bylejaką myślówą i etyczną”. Ale czy na pewno?

Epitet „moralność spartańska” został użyty przez autora artykułu w znaczeniu pejoratywnym. Spartanie wrzucali do rozpadlin gór Tajget chore i słabe niemowlęta. Motywy takiego postępowania były proste. Skalistą i nieurodzajną ziemią nie była w stanie wyżywić wszystkich. Nadto mury państwa-miasta mogły dać schronienie tylko określonej liczbie sprawnych i silnych obrońców. W tych czasach ciągłych wojen nie było to bez znaczenia.

Mogę podesunąć jeszcze jeden przykład podobnej moralności. Nazwałbym ją „polinezyjską”. Otóż na niektórych wyspach Polinezji raz do roku starcy poddawani byli próbie, polegającej na wchodzeniu na wysoką palmę. Ci, którzy weszli i zeszli, mieli zapewniony byt do następnej próby. Ci, którzy spadli... Nie udzielano im nawet pomocy, jeśli nie zginęli od razu. Niewątpliwie okrutna praktyka. Chodziło o to, że na tych wyspach było mało żywności, a nie znano tam sposobów regulowania przyrostu naturalnego (zdaniem niektórych badaczy obyczaj, homoseksualizm w Grecji spełniał właśnie funkcję takiego regulatora). Alternatywą dla tych „konkursów” był głód dla całej społeczności. Co wydaje się nieprawdopodobne, starcy biorący udział w tych próbach uznawali je za naturalne i oczywiste.

Podając te przykłady, chcę wykazać, że nie ma niezmiennych kryteriów wartości. Zachowania i zasady postępowania stosowane w jednym miejscu są nie do zaakceptowania w innym. Nie obrażajmy Spartan, przykładając do ich zachowań miarę z XX wieku. Oczywiście jest, że podobne myślenie nie powinno mieć miejsca w naszych czasach. Wszyscy wiemy, że jest inaczej. Nie tylko u nas. Cięża jest przeżywana we wszystkich krajach, niezależnie od ustroju, położenia geograficznego i koloru skóry ich mieszkańców. Stosowniejszym od zarzucania społeczeństwu polskiemu braku moralności wydaje się ubolewanie nad kondycją moralną i słabością charakteru Człowieka.

Zwolennicy projektu ustawy, broniąc swego, posługują się pewnym nieuczciwym chwytym. Otóż sugerują (nie wprost, oczywiście), że każdy, kto jest przeciw projektowi ustawy, jest za zabijaniem. To oczywisty fałsz. Wśród „zdemoralizowanych mas” istnieje znikoma liczba tych, którzy są za zabijaniem. Jest to margines znajdujący się w każdym, nawet najbardziej moralnym społeczeństwie. O nich można nie mówić. A ten bunt, o którym autor artykułu wspomina, dotyczy głównie sposobu, w jaki ustawa próbuje rozwiązać problem przerywania ciąży. Czas skończyć z myśleniem magicznym. Jeśli ustawa zabroni, to problemu nie ma. Nie, tego nie załatwi ustawa, nie załatwią tego również dwie inne ustawy ani „określone postanowienia dodatkowe”. Trzeba wielu lat pracy, aby przebudować mentalność społeczną, aby przywrócić właściwą hierarchię wartości. Trzeba przywrócić jedność teorii z praktyką. W końcu nie tak dawno przekonywano nas, że najlepszy model rodziny to dwa plus trzy, a najlepszy dla niej samochód to mały fiat. Musi powstać sytuacja, by wszystkie dzieci były chciane, a powiązanie się nieplanowanych nie stanowiło zagrożenia bytu dla pozostałej rodziny. Społeczeństwo jest rozumne. Protestuje przeciwko jeszcze jednej fikcji autokratycznych rozstrzygnięć.

Sławomir Jankowski

— Był pan w Polsce dwukrotnie. Powód pierwszej wizyty to amerykański film „Noc generałów”, drugiego — film Andrzeja Wajdy „Biesy” według Dostojewskiego. Jaki posiada pan stosunek do swolch ról w tych filmach?

— Film „Noc generałów” jest dziełem znaczącym w moim dorobku artystycznym. Uważam go nawet za kiczowaty. Niestety, często akceptowałem rolę oparte na kiepskich scenariuszach. To był duży błąd, dzisiaj już nie do naprawienia. Nie uda się wymazać tego, co już jest. Natomiast niewielki epizod w „Biesach” Andrzeja Wajdy to najpiękniejsza rola, jaką kiedykolwiek przyszło mi zagrać. Dużo słyszałem o Andrzeju Wajdzie, zanim zagrałem w jego filmie — zawsze

— Wiem, że dzisiaj zna pan kilka języków, nawet określał pan mi: nem „Obywatela świata”...

— Znam siedem języków. Ale we wszystkich mam lekki obcy akcent. To prawda, wszędzie uchodzę za cudzoziemca; stąd też określenie „Obywatel świata”. Mówiąc poważnie, pod względem emocjonalnym jestem typowym człowiekiem Wschodu, bowiem mam jego temperament, wrażliwość, uczuciowość — jestem z tego dumny, to są rzadkie cechy na Zachodzie, występujące w mniejszym stopniu, ciągle upadające. Natomiast kulturowo należę całkowicie do Zachodu — Kocham jego sztukę, twórczość, szybkość życia. Często odwiedzam swoją ojczyznę

pozytywna cecha, która pobudza artystę do tworzenia.

— A więc co dały panu te wszystkie wspaniałe role, które pan zagrał?

— Dzięki rolom, które zagrałem, i profesji aktorskiej rozumiem ludzi. Być może bardziej niż lekarz, rolnik, ślusarz, bankier. Bardzo interesuję się ludźmi, lubię z nimi rozmawiać, patrzeć, analizować. Jestem szczęśliwy, gdy oni są szczęśliwi, smutny, gdy zauważam to zjawisko u innych.

— Wydaje mi się, że trudno o takie konkretne analizy postaci, gdy gra się w filmach fantastyczno-naukowych. A przecież daje się zauważyć, że pan bardzo chętnie występował w takich filmach?

# „JESTEM TYPOWYM CZŁOWIEKIEM WSCHODU”

## Rozmowa z Omarem Sharifem

chciałem wystąpić u tego wspaniałego twórcy.

— Przebywając dwukrotnie w Polsce, zapewne wyrobił pan sobie jakiś stosunek do naszego społeczeństwa?

— Polacy wywarli na mnie olbrzymie wrażenie. Myślę, że posiadają wielką osobowość i odwagę wyrażania własnych opinii — wielką wolność myślową. To bardzo specyficzne społeczeństwo, w znacznym stopniu wyróżniające się ze wszystkich państw Europy Wschodniej.

— Zaszukano pana jako wielkiego amanta kina, w latach sześćdziesiątych porównywano pana do Rudolfa Valentino. Co pan sądzi o polskich dziewczynach?

— Przez pewien okres nie miałem dobrego zdania o Polkach. Syn był żonaty z Polką, na szczęście rozwiódł się. Będąc dwa razy w Polsce i poznając wiele dziewczyn, doszedłem do wniosku, że to małżeństwo było nieszczęśliwym przypadkiem. Polskie dziewczyny są bardzo piękne, niezwykle sympatyczne.

— Jak to się stało, że trafił pan do zawodu aktorskiego?

— Miałem bardzo bogatego ojca, który mnie bardzo kochał. W ogóle pochodził z rodziny, gdzie miłość była sprawą najważniejszą. Gdy skończyłem osiemnaście lat, ojciec wynajął mi teatr. Stworzyłem amatorską grupę aktorów. Graliśmy, co nam wpadło w ręce, a ojciec wszystkie pieniądze stracił. Chciałem być aktorem od dziecka, a w okresie amatorskiego teatru moja miłość do tego zawodu niezwykle się nasiliła — nie było już ucieczki od aktorstwa.

— Początek pana egzystencji w kinie, w filmie był chyba kiepski, występował pan jedynie w filmach arabskich. Jaki był początek pana kariery w filmie zachodnim?

— Ma pan rację, początkowo występowałem jedynie w filmach arabskich, w ciągu kilku lat zagrałem w 24 takich produkcjach. W Egipcie kręcono się wtedy wiele melodramatów, wyciskaczy łez, tak że sukces filmu określano na podstawie łez wylanych przez widzów, podczas projekcji takiego filmu; jeżeli podłoga sali kinowej była mokra od łez po projekcji filmu, wówczas mówiło się o sukcesie. Takie to były czasy, tym bardziej, że ludzie Wschodu mają dość dobrze wyrobioną uczuciowość i wrażliwość — i potrzebowali takich filmów. Aż wreszcie David Lean poprosił asystenta, żeby mu przyniesiono fotografie wszystkich arabskich aktorów, nosił się bowiem z zamiarem realizacji filmu „Lawrence z Arabii”. Asystent jego zebrał około dwa tysiące podobizn. Lean przejrzał je skrupulatnie i z ogromnej sterty fotografii wybrał moje zdjęcie. Powiedział: „On u mnie zagra, jeżeli mówi po angielsku...” Miałem szczęście, bowiem nauczyłem się tego języka jeszcze w czasach szkolnych.

— mój Egipt — i uciekam z rodzinnych stron, przebywając tam zaledwie kilka tygodni, tęsknię za nocnym życiem, teatrem, specyficzną atmosferą.

— Daje się zauważyć, że ostatnio coraz mniej występuje pan w filmie?

— Coraz rzadziej proponuje mi się dobre role w filmie. Nie jestem już młodym amantem, a dobrzy reżyserzy przeważnie robią filmy o własnych krajach — o problemach ludzi młodych. Nie potrzebują w swych produkcjach cudzoziemców. Niewiele ostatnio znajduję dobrych ról do zagrania dla siebie. Ostatnie moje role to postacie Rosjan.

— Jaka jest, zdaniem pana, rola artysty we współczesnym świecie?

— Są to trudne czasy, zdominowane przez rewolucję przemysłu, przemoc, biedę. Ludzie potrzebują rozrywki, odpoczynku, melancholii. Prawdziwy artysta powinien dążyć, ażeby ludziom to zagwarantować — i w wielu przypadkach gwarantuje. Ale, niestety, wielu artystów interesuje się polityką. To duży błąd. Nie można mieszać polityki w sprawy kultury i sztuki.

— Dlaczego polityka wkroczyła w rewiry kultury i sztuki?

— Prawdziwy artysta ma ciągle niedosyt twórczy. Zrobił dużo, a jemu ciągle wydaje się, że bardzo mało. Widząc, że świat przeżywa kryzys ekonomiczny, moralny, etyczny, chce i w tej dziedzinie coś zrobić, nie zdając sobie sprawy, że to już obce terytorium, gdzie „gleba” jest bardziej grząska, niepewna. Aktor powinien dawać ludziom odpoczynek od polityki, także od męczącej codzienności, biedy. Rozbawiać, zasmucać do łez, ale nie interesować się polityką.

— Nie sądzi pan, że wielu artystów sięga po uboczne zajęcia, gdyż nie potrafi „wypłynąć na powierzchnię wody”, spełnić się w zawodzie, być zauważonym. Nie jest to podsyty niedosytem twórczym, lecz zdobywcą popularności, sławy?

— Jeżeli człowiek myśli takimi kategoriami, to nie jest artystą i nigdy nie będzie. Jest zwyczajnym karierowiczem. Niestety, tacy też bywają.

— Jak buduje pan postać?

— To zależy od tego, na czym bazuje scenariusz. Jeżeli scenariusz wywodzi się od książki, wówczas aktor ma do dyspozycji więcej informacji. Istnieje wtedy możliwość stworzenia postaci bardzo przestrzennej, ukazania jej wszystkich wad i zalet. Budując postać, zawsze chcę mieć jak najwięcej informacji dotyczących danego bohatera.

— Które swoje kreacje aktorskie najlepiej pan wspomina?

— Nie wspominałbym o żadnej swojej kreacji. My, artyści, nie możemy być zadowoleni z tego, co zrobiliśmy. Musimy ciągle, szukać, ciągle tworzyć. Niedosyt twórczy to bardzo

— Jestem cudzoziemcem we Francji, we Włoszech, w USA, w Polsce — wszędzie. Dlatego też proponuje mi się, a nierazko nawet sam tego potrzebuję, wypowiedzenie się w roli takiego człowieka, często przeciętnego z życia codziennego, nie z jakiegoś określonego społeczeństwa, po prostu obcego przybysza... To może być fantastyka naukowa czy też film przygodowy.

— W filmach przygodowych bardzo rzadko gra pan „czarne” charaktery, raz tylko wcielił pan się w postać rewolwerowca w znakomitym westernie „Złoto Mc Kenney”...

— Przyznam się panu szczerze, że wystąpiłem w tym filmie przede wszystkim dla mojego, wówczas dziesięcioletniego syna, który nigdy nie lubował się w moich osiągnięciach artystycznych, więcej: któremu nigdy moje filmy nie podobały się. Musiałem więc zdobyć się na gest i poprosiłem producenta, ażeby mnie obsadził w roli rewolwerowca, postaci „czarnego” charakteru. Sądziłem, że tym filmem zrobię miłą niespodziankę Tarekowi. Niestety, ten film też mu się nie podobał.

— Rozumiem, że w ten sposób chciał pan wyrazić swoją wielką miłość do syna...

— Tak, bardzo Kocham swojego syna. Niestety, mam duże wyrzuty sumienia, że zbyt mało czasu poświęcałem mu w dzieciństwie. Rozumiem pan, ten zawód wymaga wielu wyrzeczeń, ciągłych podróży, nie można być człowiekiem stabilnym, będąc aktorem. Mam wnuczkę Marię, którą bardzo Kocham. Chciałbym błędy popełnione przy wychowaniu syna, to, że zbyt mało ciepła mu dałem, naprawić. Chciałbym wnucze oddać wszystko, co mam, całą swoją miłość — jej oddać.

— Czy role „amantki” pomogły panu kreować się na amanta w życiu codziennym?

— Nigdy nie można stanąć na wysokości reputacji... Gdy spotykam się z dziewczyną, to muszę pół wieczoru spędzić, ażeby ją przekonać, że jestem człowiekiem przeciętnym i zupełnie normalnym mężczyzną, gdyż ona oczekuje ode mnie jakiegoś zjawiska... To jest bardzo uciążliwe. A propos ról amantów, uważam, że w filmie są to najnudniejsze role.

— Czy nie ma pan żadnych marzeń?

— Chciałbym, żeby nigdy nie było przemysłu i rewolucji przemysłowej, żadnych maszyn, żebyśmy wrócili do czasów, kiedy uprawiano się tylko ziemię. Chciałbym, ażeby w jakis cudowny sposób, bez umierania, zmniejszyła się o połowę liczba ludzi na Ziemi...

Rozmawiał:  
Bogdan Kuncewicz



# TV

## OZWARTEK

3 sierpnia

### PROGRAM I

8.50 Domator: Dieta cud  
9.00 Kino Teleferii: „Vasco da Gama ze wsi Rupcza” (6) — „Junga” — serial prod. bułgarskiej  
10.00 Dt — wiadomości  
10.10 „Ostatnie spotkanie” — film krym. prod. NRD  
16.45 Program dnia  
16.50 Patrol — wojskowy program public.  
17.15 Teleexpress  
17.30 „Kolumbowie” (2): „Zegnaj Baśka” — serial TVP  
18.25 Gorące linie  
18.50 Bez granic  
19.00 Dobranoc: Cypisek, syn rozbójnika Rumcajsa  
19.10 Teraz — tygodnik gospodarczy  
19.30 Dt  
20.05 „Głos w telefonie” — film krym. prod. CSRS  
21.30 Kroniki PAT: Tak było...  
21.45 Pegaz  
22.35 Śpiewa Riki Sorsa  
23.05 Dt — echa dnia

### PROGRAM II

17.55 Program dnia  
18.00 Program lokalny  
18.30 „Strachy na lachy” — serial animowany prod. ang.  
19.00 Magazyn „102”  
19.30 „Świat roślin” (6): „Czarowne orchidee” — serial przyr. prod. CSRS  
20.00 Studio Sport: Wielki tenis  
21.00 Ekspres reporterów  
21.30 Panorama dnia  
21.45 Kino studyjne „Dwójki”: „Kobieta w czerwonych butach” — film fab. prod. franc.-włoskiej; reż. Juan Bunuel; wyk.: Catherine Deneuve, Fernando Rey, Jacques Weber  
23.15 Komentarz dnia

## PIĄTEK

4 sierpnia

### PROGRAM I

8.50 Domator: Dieta cud  
9.00 Zielone Teleferie  
9.30 Kino Teleferii: „Ara-bella” — serial prod. CSRS  
10.00 Dt — wiadomości  
10.10 Dt — reforma gospodarcza  
10.25 „Zdarzenia na szosie E-4” — komedia obycz. prod. CSRS  
15.50 Domator: Przed weekendem  
16.50 Program dnia  
16.55 Mieszkać — wszech-nica budowlana  
17.15 Teleexpress  
17.30 „Kolumbowie” (3) — „A jeśli będzie wiosna” — serial TVP  
18.30 Szkoła mistrzów — Barbara Sass  
18.50 Bez granic  
19.00 Dobranoc: Przygody Gapulki  
19.10 Monitor rządowy  
19.30 Dt  
20.05 „Cudzoziemka” — film fab. prod. pol. Reż. Ryszard Ber. W roli głównej Ewa Wiśniewska  
21.45 Kroniki PAT: Tak było...  
22.00 Czas — magazyn publicystyczny

22.30 Dt — echa dnia  
22.45 „Świat jaki jest” — „Magnaci heroiny” — serial dok. prod. ang.

### PROGRAM II

17.55 Program dnia  
18.00 Program lokalny  
18.30 Konwój  
19.00 Wzrockowa lista przebojów Marka Niedźwieckiego  
19.30 Dookoła świata: W Panamie  
20.00 Piątek — krakowski przekładaniec kulturalny  
21.30 Panorama dnia  
21.45 Filmy z Humphreym Bogartem: „Konwój” — film prod. USA. Reż. Lloyd Bacon. Wyk.: Raymond Massey, Alan Hale, Julia Bishop  
23.55 Komentarz dnia

## SOBOTA

5 sierpnia

### PROGRAM I

8.00 Tydzień na działce  
8.20 Na zdrowie — program rekreacyjny  
8.55 Program dnia  
9.00 Kino Teleferii: „Przygody dobrodusznego smoka” — serial prod. węgier. i „Siedem życzeń” — serial fab. prod. pol.  
10.20 VIII Światowy Festiwal Polonijnych Zespołów Folklorystycznych — Rzeszów '89  
10.30 Dt — wiadomości  
10.40 Stare, nowe, najnowsze  
11.25 Wilanów w Powstaniu Warszawskim — wojskowy program historyczny  
12.05 „Śladami Odyseusza”: „Charybda i Scylla” oraz „Calipso” — filmy dok. prod. franc.  
12.45 Telewizyjny Teatr Prozy: Z cyklu „Mówi Chandler” — „Długie pożegnania”. Reż. Stefan Szałczyński. Wyk.: Witold Pyrkosz, Jan Tesarz, Olgierd Łukaszewicz, Izabella Lipka i inni  
14.00 Premie i premiery — recital Sinnitty  
14.30 Komedia, komedia, komedie: „Milion za Laure” — film TVP  
16.05 Losowanie Dużego Lotka  
16.15 Butik  
16.45 Teleexpress  
17.00 Studio Sport: Mistrzostwa świata na żużlu (z Leszna) i Puchar Europy w lekkoatletyce  
19.00 Dobranoc: Przygód kilka wróbla Cwirka  
19.10 Z kamerą wśród zwierząt: „Leśni akrobaci”  
19.30 Dt  
20.05 „Rozległa kraina” — film fab. prod. francusko-austriackiej. Reż. Luc Bondy. Wyk.: Michel Piccoli, Bulle Ogier, Milena Vukotic  
21.45 Tydzień w polityce — komentuje Karol Szyndzielorz  
21.55 Teatr TV: Spotkania ze Szwajkierem (4) — „Feldkurat Katz ma kaca”  
22.15 Telewizyjny przegląd sportowy  
22.35 Piknik Country — Mrągowo '89: Dzień pierwszy (fragment koncertu inauguracyjnego)  
23.35 Jutro w programie  
23.40 Telegazeta  
23.45—1.50 Kino sensacji: „Zabójstwo bez zapłaty” — film prod. japońskiej

### PROGRAM II

13.15 Konkurs 5 milionów — ogólnopolskie współzawodnictwo szkół podstawowych  
14.00 W świecie ciszy — program dla niesłyszących

14.25 Telewizyjny koncert życzeń  
14.55 Powitanie  
15.00 „Ordy”: „Adolf Wegener — dryfujący kontynent” — serial animowany prod. japońskiej  
15.25 Spektrum — nowości nauki i techniki  
15.40 „Afrykańskie wodopoje” — film przyrodniczy prod. RFN  
16.05 Zielony świat: Filozofia przyrody  
16.35 „Wszehobecne mięczaki” (1) — film przyr. prod. RFN  
16.45 Dom XXI w.: Konstrukcje  
17.05 Konwój  
18.00 Telewizyjna Panorama Lubelska

### PONIEDZIAŁEK

## PONIEDZIAŁEK

7 sierpnia

### PROGRAM I

17.10 Program dnia  
17.15 Teleexpress  
17.30 „Kolumbowie” (4) — „Oto dziś” — serial TVP  
18.25 Echa stadionów  
18.50 Bez granic  
19.00 Dobranoc: Figlarna małpka  
19.10 Gorące linie  
19.30 Dt  
20.05 Spektakl na bis: William Szekspir: „Makbet”. Reż. Krzysztof Nazar. Wyk.: Daniel Olbrychski, Joanna Szczepkowska, Karol Strasburger, Jerzy Bińczycki, Edward Zentara, Piotr Skiba, Iwona Bielska, Ewa Ciepela, Bożena Adamek, Urszula Papiel, Jerzy Grałek i inni  
22.30 Kroniki PAT: Tak było...  
22.45 Wolny rynek: Fikcja czy szansa?  
23.15 Dt — echa dnia

### PROGRAM II

17.55 Program dnia  
18.00 Program lokalny  
18.30 Czarno na białym — przegląd polskich kronik filmowych  
19.00 Ojczyzna — polszczyzna: Dwoma czy dwiema  
19.15 Antena „Dwójki” na najbliższy tydzień  
19.30 XIII Starosądecki Festiwal Muzyki Dawnej  
20.00 Teletrans  
20.30 Osądzimy sami  
21.15 Rozmowy o cierpieniu  
21.30 Panorama dnia  
21.45 Biografie: „Tajemnice życia Sergieja Eisensteina” — film dok. prod. szwajcarsko-angielskiej  
22.40 Komentarz dnia

## WTOREK

8 sierpnia

### PROGRAM I

8.50 Domator: Aerobik z Mariolą  
9.00 Teleferie: Wakacje z Neptunem  
9.30 Kino Teleferii: „Chłopcy z naszego osiedla” (3) — „Sposób na złodzieja” — serial prod. węgier.  
10.00 Dt — wiadomości  
10.10 Dt — dodatek gospodarczy  
10.25 „Moja kuzynka Rachel” (4 — ostatni) — serial prod. amerykańsko-angielskiej  
16.55 Program dnia  
17.00 Radar — piosenki Powstania Warszawskiego  
17.15 Teleexpress  
17.30 „Kolumbowie” (5 — ostatni) — „Śmierć po raz drugi” — serial TVP  
18.25 Z wiatrem i pod wiatr

— magazyn żeglarski  
18.50 Bez granic  
19.00 Dobranoc: Przygody Bączka i Pączka  
19.10 Od A do Z: Z — jak ziarno  
19.30 Dt  
20.05 „Moja kuzynka Rachel” (4 — ostatni) — serial prod. amerykańsko-angielskiej  
20.55 Kroniki PAT: Tak było...  
21.10 Program public.  
21.25 „Festiwal życia” — reportaż  
21.55 Studio Solidarność  
22.40 Dt — echa dnia

### PROGRAM II

17.55 Program dnia  
18.00 Program lokalny  
18.30 „Wojna domowa” (13) — „Młode talenty” — serial TVP  
19.15 Piknik Country: Zza kulis  
19.30 Blisko nieba — magazyn alpinistyczny  
20.00 Studio Sport: Mityng lekkoatletyczny — Grand Prix z Budapesztu  
21.30 Panorama dnia  
21.45 „Hasło Mewa” — film prod. RFN  
23.10 Komentarz dnia

## ŚRODA

9 sierpnia

### PROGRAM I

8.50 Domator: Aerobik z Mariolą  
9.00 Teleferie najmłodszych: Zgadywanie na ekranie  
9.30 Kino Teleferii: „Piaszkowy stworek” — „Ostatnie życzenie” — serial prod. CSRS  
10.00 Dt — wiadomości  
10.10 „Między nami chłopakami” — film prod. CSRS  
16.45 Program dnia  
16.50 Losowanie Express i Super Lotka  
16.55 Telewizyjny informator wydawniczy  
17.15 Teleexpress  
17.30 „Polskie drogi” (1) — „Misja specjalna” — serial TVP. Reż. Janusz Morgenstern. Wyk.: Karol Strasburger, Kazimierz Kaczor i inni  
19.00 Dobranoc: Kolorowy świat Pacyka  
19.10 Bocznyimi drogami — reportaż  
19.30 Dt  
20.00 „Tajwańska kanasta” — film prod. jugosłowiańskiej  
21.30 Kroniki PAT: Tak było...  
21.50 Spojrzenia  
22.20 Historia Bursztynowego Słowika (3)  
22.50 Dt — echa dnia

### PROGRAM II

17.55 Program dnia  
18.00 Telewizyjna Panorama Lubelska  
18.30 Świat festynów  
19.00 Przeboje Teatru Muzycznego w Gdyni  
19.30 „Wieczni jak Nil” — reportaż z Egiptu  
20.00 Niezapomniane melodie  
20.20 Młode piękne głosy: Beata Morawska  
21.00 „Z ziemi polskiej” — film dok.  
21.30 Panorama dnia  
21.45 „W labiryncie” (32) — serial TVP  
22.15 Telewizja nocą  
23.00 Komentarz dnia

ZESPÓŁ: Ewa Czerwińska, Mirosław Derecki, Ewa Dybek (redaktor techniczny), Zbigniew Dzieciołek, Wiesław Horabik, Violetta Krasnowska, Zbigniew Miazga (kierownik działu kultury i informacji), Andrzej W. Pawluszuk (kierownik działu reportażu), Waldemar Piasecki (kierownik działu publicystyki), Franciszek Piątkowski (redaktor naczelny), Maciej Podgórski (sekretarz redakcji), Waldemar Stepień (fotoreporter), Leszek Wiśniewski, Izabella Wlazłowska. Korekta: Barbara Caban. Sekretariat: Anna Wójtowicz.  
ADRES REDAKCJI: ul. Skłodowskiej 2, 20-029 Lublin. Telefony: 215-57 (sekretariat, redaktor naczelny), 205-34 (sekretarz redakcji), 202-91 (dział publicystyki), 208-59 (dział reportażu), 233-88 (dział kultury i informacji). Korespondencję zwykłą prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin, skrytka pocztowa 231.  
WYDAWCA: Lubelskie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa—Książka—Ruch”, ul. Jasna 6, 20-077 Lublin, tel. 255-30.  
DRUK: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, ul. Unicka 4, 20-126 Lublin, tel. 77-35-71.  
Redakcja nie zwraca tekstów nie zamówionych, zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów i zmiany tytułów w nadesłanych materiałach.  
Informacji o prenumeracie na kraj i zagranicę udzielają oddziały Przedsiębiorstwa Upowszechniania Prasy i Książki RSW „Prasa—Książka—Ruch” i urzędy pocztowe.  
Nr indeksu: 37409 PL ISSN 0860-8830. Zam. 1192. 24.07.1989 r. B-5.



# KORONACJA

**S**ENATOROWIE i posłowie bieżącej kadencji są w sytuacji o wiele wygodniejszej aniżeli ich poprzednicy. Dzieje się tak dlatego, iż nieustannie są pouczeni przez swych wyborców, czym mają się zajmować w parlamencie. Każdy Polak wie najlepiej, co jest akurat najważniejsze.

W 47. numerze „Gazety Wyborczej” czytamy w liście St. Janczyńskiego z Choszczna: „Wiemy wszyscy, jakie trudności gospodarczo-społeczno-polityczne przeżywa nasz kraj i to powinno być naprawiane w dużej mierze przez drużynę L. Wałęsy, która zasiada w parlamencie. Jeden z pierwszych postulatów powinien brzmieć — ukoronować orła! Z takim postulatem powinni wystąpić członkowie „Solidarności” w Sejmie i Senacie”.

Osobiście nie odczuwam szczególnie boleśnego braku korony na głowie orła, co oczywiście nie znaczy, bym miał coś przeciwko temu. W koronie czy bez, polski orzeł pozostanie nadal orłem, symbolem naszego państwa. Sądzę jednak, iż jest parę drobiazgów, którymi należałoby się zająć wcześniej niż koronacją orła. Owe drobiazgi to m.in. postawienie gospodarki z głowy na nogi, reformy polityczne, dalszy rozwój demokracji i jeszcze kilka podobnych. To jednak jest tylko moje prywatne zdanie. Inni — być może — sądzą, iż wystarczy ukoronować orła, a wszystkie problemy rozwiążą się same.

Należy jednak zdać sobie sprawę z tego, iż ukoronowanie orła może spowodować pewne komplikacje międzynarodowe. Nie można bowiem wykluczyć, iż zaprzyjaźnione narody Rumunii i Koreańskiej Republiki Ludowo-Demokratycznej uznają ów fakt za restytuowanie w Polsce feudalizmu. Ich reakcja na to, co dzieje się na Węgrzech, pozwala na wysunięcie takiej supozycji. A jeśli tak się stanie, to jedność diabli wezmą.

Flesz



Jeden z naszych czytelników

Fot. Tadeusz Wyszyński

# LISTY

## „LUBELSKA BIAŁA PLAMA”

Czytam „Relacje” z coraz większym zainteresowaniem. Nie zmienia tego nawet bezsporny fakt, że spotykam w nich teksty, które swoją beczelnością zatykają dech w piersiach, a które słyszy się jak żywy pomruk niepełnie minionego kosmaru. Być może nawet uświadamiają, że są sprawy, które wbrew temu, co się oficjalnie mówi, żyją, kultuwają najgorsze, najbrudniejsze tradycje kosmaru ćwierćwiecza, uświadamiają, że obok są ludzie, którzy albo nie rozumieją, albo rozumieją na tyle dużo, że nie pozostać im nic innego jak demagogia i nazywane czarnym białym. Może w polemice z nimi warto posłużyć się ich metodami, ich logiką, która rządzi ich irracjonalnym myśleniem i która zastania ich przed świadomością własnej winy. Szkoda, że np. „nazwisko i adres do wiadomości redakcji” z listu na str. 13 numeru 14 „Relacji” nie jest nazwiskiem i imieniem do wiadomości czytelników. Cóż, czasem nazwisko potrafi powiedzieć więcej niż wywody nim podpisane.

Dziś, z perspektywy lat, które przyszło nam przeżyć w Polsce rządzonej przez tych najlepiej wiedzających, jedynych znających tajemnicę dobrego i złego, należy się najpierw zastanowić, czy wypada ludzi, którzy mieli odwagę w imię Polski stawiać opór stalinowskiemu systemowi, którzy odróżniali treść od formy i nie ulegali schizofrenicznemu uludom, biorącym marzenia i wyobrażenia za rzeczywistość, a w imię tych otwartych oczu mówili „nie”, czy tych ludzi wypada nazywać daleki bandytami.

Czy w ogóle uda się odtworzyć historię, wątpię. Dokumenty w archiwach... No cóż, dokumenty sporządzały ludzie, którzy chcieli, aby historia wyglądała tak, jak chcieli. Tak tworzone dokumenty. Co do UBP — cóż, jestem przekonany, że w żadnym z protokołów przesłuchań nie będzie adnotacji: „W tym miejscu zaprzestano zadawania pytań i dano podejrzanemu parę razy w pysk, wybijając jedynie dwa zęby, co znacznie odświeżyło jego pamięć, przy okazji informując, że jak nie będzie gadał, to jego dziecko znajdzie niewypał”.

Smiem twierdzić, że ówczesna władza była na tyle przezorna, a nie brak tam było ludzi w równym stopniu inteligentnych co zdeprawowanych (często chodzi w parze), aby w tych papierach, co szły do archiwum, odzwierciedlić „rzeczywistość” taką, jaką chcieli, by była widziana, i aby wyszli na jedynie dobrych i godnych obywateli lepszej Polski. W świetle tychże dokumentów żołnierze AK przyznali się do swoich agenturalnych powiązań z obcymi mocarstwami, a nawet do współpracy z hitlerowcami i pigmejami. W świetle tychże archiwalnych dowodów wszystko było lege artis i cacy: bo specyfika tego systemu polegała na zastępowaniu rzeczywistości — dokumentami. Na całe nieszczęście ich autorów żyją ludzie, których relacje, a często ślady na ciele i zdrowiu, świadczą o tym, że te „archiwalne dokumenty” to jedynie dowody dokumentacyjnego fałszerstwa historii. Dziś — jest to już bezsporne.

Otóż autor znany jedynie redakcji, nadal proponuje fałszowanie historii w imię szczęścia schizofrenika; cyt. „chodzi o to, aby nie tylko wyjaśnić mroki tamtych czasów, ale stworzyć wspólnie tamtą rzeczywistość, w której patriotyzm, wierność przekonaniom będą służyć wszystkim”.

Jakże wyłożyć tę dialektycznie sprzeczną myśl? Po prostu:

1. Nie opisywać faktów, ale wyjaśniać „fakty”;
2. Nie opisywać obiektywnie zdarzeń, ale stworzyć ich kolejną, zawsze wspólną przecie (z kim ta spółka?) wersję rzeczywistości w taki sposób, aby wynikało jasno, że ci, którzy rzeczywistość lat 40. i 50. (no i też później) — sprawując władzę — tworzyli, to byli obowiązkowo patrioci, wierni swoim przekonaniom, które były najlepsze z wszelkich możliwych przekonań bez żadnej alternatywy, nawet jeżeli obecnie są patriotami w stosunku do granic PRL na wschodzie, zachodzie i bliskim wschodzie. (Poznałem takiego „patriotę” w czasie mojego pobytu w RFN; prosił mnie, on „cokte dentcher”, abym się dowiedział, czy to prawda, że jeszcze po jego wyjeździe do Vaterlandu przyznano mu odznaczenie za umacnianie tego i owego. Podobno prawda. Kimkolwiek był ów przesładowany w PRL — oczywiście, nie pozwolono mu wygłaszać przemówień na zebraniach partyjnych w jego ojczystym, niemieckim języku).

Autor tegoż listu pisze również, że opozycja usiłuje kwestię „białych plam” wykorzystać do walki z ustrojem, z władzą. Z jaką władzą i jakim ustrojem? Jeżeli zwalcza w ten sposób stalinowskich pogrobowców, których nie brakuje, to dobrze. Bo aktualnie ta władza i ten realny, istniejący ustroj w PRL jest z urody zupełnie czymś innym niż stalinizm, w swej czystej, czy też w latach późniejszych zmodernizowanej, formie.

Przez 40 lat były wygłaszane zupełnie jednostronne poglądy przez tzw. „władzę” na to, co robiła. [...] Teraz potrzebny jest obraz z drugiej strony. Resztę cenią ludzie, którzy potrafią myśleć. Jest to prawo opozycji do pokazywania rzeczywistości w takiej opcji, jaką uważa za słuszną. Prawda bowiem stanowi jedność, która wylania się z ukazania przeciwieństw, jak uczy stary Marks, niestety lepiej znany opozycji niż jego rzekomym obrońcom. Jeżeli do końca nie ujawni się tego, czym był stalinizm i kto go realizował, jeżeli nie powie się prawdy, nawet wtedy, gdy będzie niebezpieczna dla władzy, totalitaryzm odrodzi się, w co zresztą osobiście głęboko wierzę.

Znany redakcji z nazwiska i adresu autor konsekwentnie wszystkich czynnych przeciwników stalinizmu z lat 40. i 50. nazywa bandytami. Informuję, że przeciwnicy stalinizmu, nawet czynni, żyją i działają nadal, nawet w KC — czy autor zdaje sobie sprawę z konsekwencji tak postawionego znaku równości?

I jeszcze jedno. „Jurek” — „w bandzie chory nie był, a jak siedł do wojska, zachorował „bohaterem”. A może miał pójść do KBW i pacyfikować? Przecież tenże „Jurek” widział, do czego system prowadzi.

Na marginesie, często dodaje się teraz demagogiczne hasła, o rzekomych sukcesach, a nie tylko błędach 40 lat stalinizmu w PRL (z krótkimi przerwami). Pytam, co takiego osiągnięto, czego nie osiągnęły kraje o zupełnie odmiennym od stali-

nowskiego systemie? Przemysł? Kulturę? Cywilizację? Oświatę? Stan zdrowia? Gdzie ta przewaga w miliardowych długach?

Świadomie nie używam słowa socjalizm, bo nie wiem dokładnie, czy jest to stalinizm, czy też coś takiego, co jest np. w Szwecji czy Danii?

Skąd autor wie, że nieprawdą jest, iż sadzano „krowca na rozpaloną do czerwoności blachę „golem tyłkiem”. O torturach zeznawali funkcjonariusze UBP, którzy zmienili opcję i wyjechali, np. Swiatło. Relacje o torturach powtarzają się konsekwentnie u więźniów tamtego okresu, były składane nawet wtedy, gdy za ich przekazywanie można było posiedzieć, dostać „po pysku”, stać się nieprzydatnym pracownikiem, a nawet złym uczniem czy studentem. Dlaczego nie mamy wierzyć ludziom, oczywiście nie tylko „Jurkowi”, którzy wytrzymali nieraz hitlerowskie przesłuchania, a przyznali się do ewidentnie nie popełnionych czynów przed śledczymi UBP lub „informacji”?

Może, jak sugeruje autor, nie wierzyć im, a za-wierzyć tym tzw. „dokumentom”, które jednocześnie świadczą o tym, że są to zbrodniarze, dokąd nie okazało się, że jest inaczej. Nie, miły Panie o nazwisku i adresie znanym redakcji, świadkowie i logika to stara i niepełnie zużyta metoda używania rozumu, to też argumenty, w oparciu o które tworzy się nowa, prawdziwa dokumentacja, przeciw faktom złożonym w archiwach.

To nie opozycja rozwała socjalizm. Socjalizm udusił ludzie stalinowskiej proweniencji już dawno. Dopiero to pokolenie, znając wszystkie zbrodnie zwane enigmatycznie „błędami”, musi ten socjalizm od nowa budować. Taki socjalizm, w którym wola jednostki nie będzie wola ludu, taki bez więziennoobozowego niewolnictwa, taki, w którym nauczyciel... itd. Ale przede wszystkim taki, który już nigdy nie da szans tym, którzy w imię swojej misji będą żyć z wyzysku społeczeństwa i którzy już nigdy więcej nie będą mogli realizować swoich fikcji przeciw woli większości. Taki socjalizm, o którym będzie się mówiło z szacunkiem i bez strachu.

Nie wiem tylko, jak zostaną spłacone długi, ale nie z hasłem: „Wszyscy odpowiadamy za Polskę, chociaż nie mamy nic do powiedzenia”. Ze stalinizmem żyje — świadczą ostatnie wydarzenia w tym mieście, publiczne akty łamania prawa, np. art. 98 ustawy z 7 kwietnia 1989 r. — ordynacja wyborcza do Sejmu PRL X kadencji na lata 1989—1993, ustawy, która weszła w życie w całości, bez wyjątku — 7 kwietnia 1989 roku.

Dlatego, kończąc, proponuję Panu o nazwisku i adresie do wiadomości redakcji ujawnienie swojego nazwiska, nawet bez adresu, czytelnikom. Może wiedzą sąsiedzi, jak (i gdzie) kto siedzi — mogliby też wiedzieć, jakie ma poglądy.

Leszek Liszecz-Lublin

PS. Wspomniany art. 98 brzmi: „Zgromadzenia wyborców, organizowane w celu zgłoszenia kandydatów na posłów oraz zwoływane i odbywane w ramach kampanii wyborczej prowadzonej na rzecz kandydatów, nie podlegają przepisom ustawy z dnia 29 marca 1982 r. o zgromadzeniach. Wprowadzenie tego zapisu było omawiane przy „okrągłym stole” i stanowiło przedmiot relacji, w publikacjach.

## W NUMERZE 30. OPUBLIKUJEMY:

I „PERSPEKTYWY” ● 1939: PRZED CZWARTYM ROZBIOREM POLSKI ● ZBRODNIA NA CZTERY SPOSOBY

● CZY POLSKA LEWICA MA SZANSE? ● „RELACJE” KONTRA „ZDANIE”